



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX

Warszawa, 4 stycznia 1953

Nr 1 (371)

Dominik HORODYŃSKI

Notatnik wiedeński

10 grudnia 1952

PRZED godziną przyjechaliśmy do Wiednia po blisko dobę trwającej podróży z przesiadką na granicy czeskosłowacko - austriackiej, gdyż władze austriackie nie wpuściły polskich wagonów sypialnych.

W Czechosłowacji pociąg nasz nabrał charakteru międzynarodowego, w korytarzach słychać rozmowy w językach — to delegacji z różnych stron świata ściągający przez Pragę na Kongres Narodów. W Austrii wszedł do naszego przedziału Donnini w towarzystwie dwóch włoskich profesorów. Wyrażamy zdziwienie dlaczego Włosi jadą okólną drogą. Donnini opowiada jak delegacji włoscy, którym rząd odmówił wydania paszportów na Austrię, dostają się do Wiednia różnymi drogami, oni np. jadą przez Szwajcarię — Pragę, inni przez Brukselę, Kopenhagę itp. Pościąganie de Gasperi'ego odniosło od wrotny skutek od zamierzonego. W pierwszej chwili kierownictwo włoskiego ruchu pokoju obawiało się, że w trudnych warunkach tylko komuniści zdecydują się jechać i że to zwęzi delegację, tymczasem wręcz odwrotnie, właśnie ludzie najdalej stojący od środowisk postępowych i od ruchu pokoju, jako do represji nie przyzwyczajeni szczególnie się oburzyli i np. jeden stary senator monarchista oświadczył: „*jak tak, to ja pójdę piechotą*”. Istotnie część delegatów włoskich przechodzi granicę nielegalnie mimo śniegu i mrozów.

Niespodziewane ograniczenie ważności wszystkich paszportów włoskich na Austrię aż do 22-go grudnia uderzyło przede wszystkim w kupców austriackich i włoskich, ponieważ interesy handlowe między obu krajami są bardzo rozgałęzione szczególnie w branży spożywczej, a okres jest przedświąteczny. Donnini opowiada, że przed giełdą rzymską działali się niebawem sceny. Kupcy, z których jeden miał w drodze transport kilkuset świń, inny tysiące jaj itp. wymyślali policjantom, żądając odszkodowania. „*To wina komunistów!*” — wołali policjanci. „*Nie, to wasza wina, bo wy odmawiacie paszportów!*” — krzyczęli kupcy. W ten sposób Kongres Narodów zdobył popularność w sferach dotychczas dość obojętnych na sprawę walki o pokój.

Zywemu opowiadaniu Włochów przysłuchiwała się Brazylianka, pani d'Ambrozio, która jedzie z nami z Warszawy. Przyjechała ona do Polski, by wziąć udział w jury konkursu im. Wieniawskiego i równocześnie jest jednym z delegatów Brazylii na Kongres; musiała więc przed zakończeniem konkursu opuścić Poznań. Ta rozumna starsza pani, profesor konserwatorium w Rio, z przejęciem opowiadała mi jakich głupstw musiała wysłuchać o Polsce przed udaniem się do Warszawy. Zaręczano jej, że nie wróci żywa z tego straszego kraju i żegnano ją jakby odjeżdżała na zawsze. Szczególnie brednie opowiadała jej uczniowie, gdyż kształci się u niej kilku synów emigrantów polskich. Pani d'Ambrozio wyjeżdżała z Warszawy oburzona na swych

brazylijskich informatorów i zachwycona Polską, choć pogodę miała niezbyt miłą i tego musiała przemarznąć w swym cienkim paletku. Zaimponował jej rozwój muzyki polskiej i opieka nad artystyczną młodzieżą. Opowiadała, że w Brazylii jest wiele utalentowanej młodzieży, która nie ma możliwości rozwijania swych zdolności, gdyż nie istnieją stypendia państwowe, a każdy chcąc się uczyć, musi równocześnie pracować zarobkowo w innym zawodzie lub grać po nocach w knajpach.

Na granicy austriackiej konduktorzy w mundurach przypominających czasy Franz-Josefa sprawdzają nasze bilety. Jeden z kolejarzy pozdrawia nas głośno: „*My tu wszyscy jesteście z wami. Przeciwno Kongresowi Narodów są ci, którzy mają wielkie mąjtki i fabryki*”.

Na dworcu w Wiedniu witają naszą delegację przedstawiciele austriackiego Komitetu Obrońców Pokoju. Każdy z nas dostaje z rąk miłych Austriaczek bukietek ziół, pachnącej mimozą. Jest bardzo zimno, śnieg i wiatr. Miasto ciemne, robi wrażenie martwego. Co prawda już po tamtej wojnie, gdy Wiedeń utracił pozycję stolicy mocarstwa patrioci dawnych czasów mówili o swym mieście ze smutkiem „*die todte Kaiser-Stadt*”. Zajeżdżamy do małego hoteliku w samym sercu Wiednia, na starym mieście, przy Annagasse, tuż koło Kertner-strasse, ulicy luksusowych sklepów. Hotelik, który w całości zajmuje nasza delegacja z trudem się weń mieszczą, nosi nieco archaiczną nazwę: „*Pod rzymskim cesarzem*”.

11 grudnia 1952.

RANO odprawa całej delegacji. Dowiadujemy się o stanie przygotowań do Kongresu i przewidywanym porządku obrad oraz zajątwinamy sprawy „*bytowe*” delegacji. Jadać będziemy w Lissinger Keller, tuż przy restauracji położonej dość blisko Konzerthausu, w którym jutro otworzy się Kongres.

Obiad z katolikami z Niemiec zachodnich. Opowiadają jak Amerykanie zupełnie jawnie zamieniają Republikę Związkową w arsenał broni. Przy użyciu ogromnej ilości materiałów wybuchowych podminowywane są masowo mosty, wiadukty, ważniejsze węzły kolejowe i szosy. Niemcy opowiadają o coraz bezwzględniejszej walce z ruchem pokoju i o niesłychanych trudnościach jakie musie li pokonać przed przybyciem do Wiednia. Jeden z nich, członek SPD mówi, że w tępieniu wszelkich ośrodków postępowych SPD zdystansowała najbardziej reakcyjne ugrupowania niemieckie. Jest to zresztą uwaga, którą można uogólnić, gdyż odnosi się nie tylko do Niemiec: w całej zachodniej Europie t. zw. partie socjalistyczne są najposłuszniejszym narzędziem imperializmu amerykańskiego. Mówiąc o sytuacji w Republice Związkowej rozmówcy moi wyrażają krytyczny sąd o nowym stronnictwie politycznym zorganizowanym przez Helenę Wessel i Heine-manna. Twierdzą, że akuszerem tego

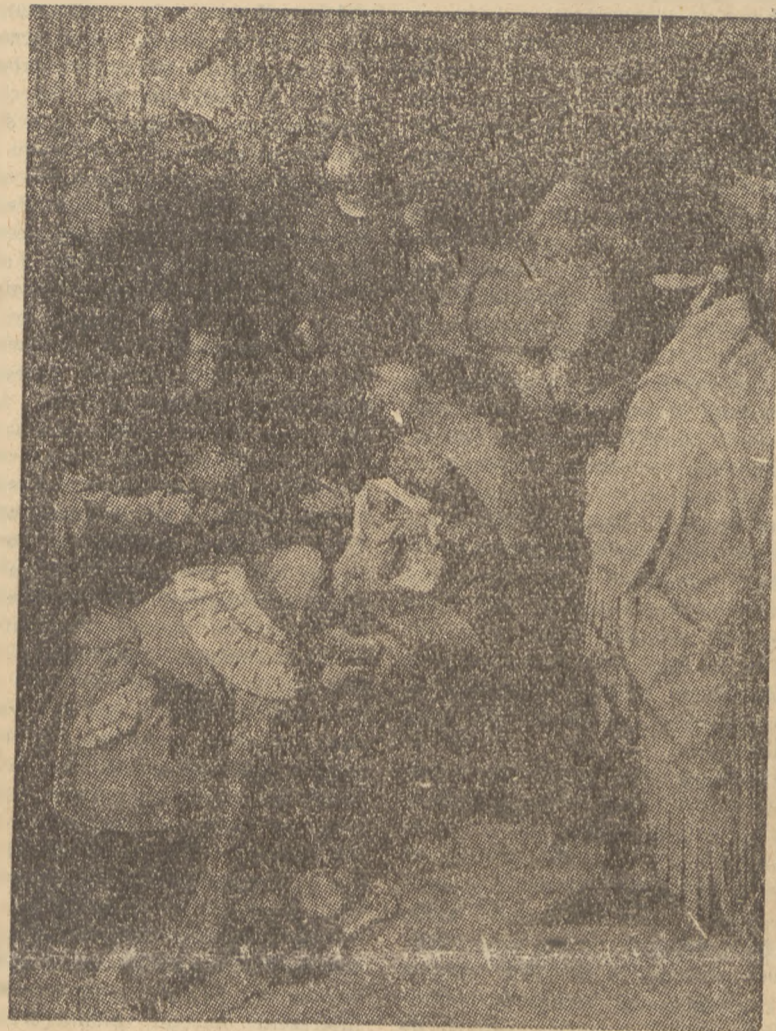
stronnictwa był wywiad francuski i angielski, któremu nowa siła polityczna na terenie chrześcijańskim potrzebna jest z dwóch powodów: by móc przeciwstawić się wpływowi amerykańskiemu w CDU Adenauera oraz by hamować rozwój ruchów postępowych wśród katolików i protestantów niemieckich.

Po obiedzie chodzę z Osmańczykiem po mieście. Wystawy sklepowe wspaniałe, nie gorsze niż na najdroższych ulicach Paryża, „*wewnątrz*”, podobnie jak w Paryżu, więcej sprzedawców jak kupujących. Na centralnych ulicach żebracy i wystrojone kobiety lekkich obyczajów. Nasze białe gołąbki w klapach zwracają uwagę. Zatrzymuje nas portier jednego z hoteli: „*panowie na Kongres, prawda? Podobają wam się miasto? — Wiedziecie, że jest to miasto tylko dla bogatych ludzi*”. „*A kto są ci, którzy kupują w tych pięknych sklepach*” — pytamy. „*Kto? — głównie uciekinierzy*” — pada zdumiewająca odpowiedź. Sprawa wyjaśnia się dość szybko. W Wiedniu od lat szaleje spekulacja. Rej w niej wodzą „*bie-dni uciekinierzy*”, to jest wielcy właściciele ziemscy, przemysłowcy i kupcy Węgrzy i Rumuni, którzy uciekli ze swych krajów wraz z wojskami Hitlera lub też później przez zieloną granicę. Ci „*mężczyźni polityczni*”, podobnie jak przed siedmiu laty nasi emigranci w Paryżu i Rzymie, szybko opanowali czarny rynek i zjednoczyli się z miejscową plutokracją. Powiodło im się lepiej niż Polakom, bo w Austrii teren do tego rodzaju trybu życia jest łatwiejszy ze względu na stałą obecność zachodnich wojsk okupacyjnych.

Korzystając z wolnego wieczoru, prawdopodobnie jedynego, wybieramy się do teatru. Ja dostaję bilet do opery na „*Bal maskowy*”. Wielka opera wiedeńska nie jest jeszcze całkowicie odremontowana po zniszczeniach wojennych i przedstawienia odbywają się w gmachu dawnej operetki. Ogromna sala dziewiętnastowieczna przywodzi na myśl czasy świetności cesarstwa Franciszka-Józefa. W której łożu siedziała Maria Wetschera, Strauss czy Lehar? — Dziś sala jest przynębiająco pusta. I to pusta w sposób, rzecz można, charakterystyczny. Zajętych jest pierwszych dziesięć rzędów, czym dalej to puściej, na balkonie nikogo. Różnice w cenach biletów między pierwszymi a dalszymi rzędami są bardzo znaczne, widać więc, że tylko garstka ludzi zamożnych, dla których cena jest obojętna, może pozwolić sobie na teatr. Nam, przywykłym do ogonków przed kasami, sala wydawała się tak pusta, że obawialiśmy się odwołania spektaklu. Widocznie jednak ten stan frekwencji jest normalny i mogliśmy wysłuchać pięknej muzyki Verdiego, dobrych głosów i znakomicie prowadzonej orkiestry.

Wieczorem wraz z prof. Hirszfel-dem zaszliśmy do Kursalonu, piękne go hotelu przy Ringu, w którym mieści się punkt rozdzielczy Światowej Rady Pokoju. Spotykam Farge'a, de Chambrun, Sartre'a i innych.

(Ciąg dalszy na str. 2)



Peter Brueghel — Pokłon Trzech Króli

ANDRZEJ ST. PIOTROWSKI

TRZEJ KRÓLOWIE

Na koronach malował wieczór
węgłem misterny ornament,
szli trzej królowie bez mieczy
za gwiazdą, tą — nad głowami.

Prowadził ich długi szlak szklany,
(a chcieli tak szybko dobiec),
nie wiedzieli, że u stóp Panny
stoi mniejszy od dłoni żłobek.

Nieśli dary dwaj starzy królowie,
długie brody szron srebrem barwił.
Jeden niósł w skrzynce złotą powieść,
drugi kwiatów mirrowych narwał.

Trzeci król był smukły jak sosna,
niósł ubogie kadzidło i jantar.
Szedł — chciał zrozumieć i poznać,
był inny, młodszy od tamtych.

Dni gaśły, otwierały się noce,
w serce wiara wiotką palmą rosła.
Biedną szopkę ujrzały ich oczy:
żłobek w cieniu wolu i osła.

Jak burza jaskółek przeloty
— zniżyła im głowy pokora
i sypały się słowa złote
i kwiaty zstępowały z koron.

Dym kadzidła powietrze rzeźbił
wonną smugą jak świt w polu bładą.
U stóp Panny kleknął król trzeci,
radość wielką, swój ból wypowiedział.

Trwał milknący śpiew chórów anielskich
dźwięczne echa ku sobie kłoniąc
i podniosła Matka z żłobka dziecko,
błogosławiąc jego świętą dłońią.

W czterech ścianach lekkich jak oddech
które wiatr w zaspie śnieżnej wtulił
pierwszy uśmiech Pan światu oddał,
drobną rączką żegnając trzech króli.

...I odeszli cisi i gwiazdni,
Był w nich uśmiech odważny, uparty.
Został w tyle smutek powszedni,
martwa wiara i Morze Martwe

OŚWIADCZENIE PEŁNE WYMOWY

W dniu 21 grudnia 1952 Józef Stalin udzielił odpowiedzi na cztery pytania postawione mu przez Jamesa Restona, korespondenta dyplomatycznego amerykańskiego piśmiennictwa „New York Times”. Lapidarne zdania wywiadu Przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR określają stanowisko Związku Radzieckiego wobec najbardziej palących problemów międzynarodowych dzisiejszej chwili, ukazując jeszcze raz dążenie ZSRR do odprężenia istniejącej sytuacji międzynarodowej oraz wolę zachowania i utrwalenia pokoju.

Odpowiedź Stalina opublikowana została w prognozie roku. Bilans roku 1952 zamyka z jednej strony dalsze krzepnięcie i rozwój pokojowej gospodarki krajów socjalistycznych oraz stały wzrost szeregów ludzi walczących na całym świecie o pokój, z drugiej zaś strony wzmożone tempo zbrojeń oraz ciągle wyraźniejsze podporządkowanie Stanom Zjednoczonym krajów politycznie i gospodarczo od nich uzależnionych. Ten najogólniej zarysowany bilans byłby nie tylko niepełny lecz i spaczony, gdyby zapomnieć o kraju, który od przeszło dwóch lat jest terenem próbnego eksplozji. Wojna w Korei nie została zakończona, a obok wstrząsającej wiadomości o stosowaniu broni bakteriologicznej rok 1952 przyniósł ponadto dalsze próby rozszerzenia rozmiarów konfliktu koreańskiego za pomocą samolotów amerykańskich na terytorium Chin Ludowych.

Doroczna sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych nie przyniosła odprężenia w istniejącej sytuacji międzynarodowej. W większym jednak niż dotąd stopniu wystąpiły i tam sprzeczności zachodzące pomiędzy dobrem poszczególnych narodów, a polityką wojenną i kolonizatorską. Teoria o niezdolności narodów wyzyskiwanych do stanowienia o swym losie ukazuje pod ciśnieniem potężniejącej stale walki wyzwoleniczej coraz wyraźniej

swe prawdziwe oblicze. Sprawa nie zależności narodowej nie ogranicza się jednakże w chwili obecnej tylko do problemu kolonialnego. W krajach europejskich, także i tych, które posiadają własne kolonie, problem niezależności narodowej stał się dziś problemem niezwykle aktualnym. Rozumieją to masy ludowe Francji czy Anglii. Rozumieć to muszą — siłą faktu i wbrew swej linii politycznej — także i burżuazyjni politycy. Gdy Herriot i Daladier nie chcą całkowicie bezkrytycznie podporządkować się narzuconym Francji przez Stany Zjednoczone zasadom układu ogólnego i układu o armii europejskiej, gdy Churchill przeprowadza męczące targi o stanowisko dowódcy frontu bloku atlantyckiego — to, chcąc czy nie chcąc, dają oni wyraz niezbitemu faktowi, że kraje ich tracą coraz bardziej swą samodzielność i niezależność polityczną, i to bynajmniej nie na rzecz wspólnoty, w której pertraktują równi z równymi, lecz na rzecz jednego, silnego i dyktującego warunki partnera. Mianem roku był okresem rozszerzania i zwiększania się tego procesu uzależnienia poszczególnych krajów kapitalistycznych od polityki rządu USA. Równocześnie jednak stanowi on okres wzrostu świadomości tego, że wyzbywanie się suwerenności, udział w planach wojennych i zobowiązaniach militarnych nie jest drogą rozwoju i dobrobytu dla tych krajów. Toteż walka o niezależność narodową, coraz jaśniej i bardziej konsekwentnie łączona jest z walką o zachowanie pokoju. Wyrazem tego była najpierw Konferencja Berlińska, u podstaw której leżało jednoczące ludzi różnych poglądów przekonanie, że problem niemiecki stanowiąc potencjalny zarodek konfliktu światowego musi być rozwiązany zgodnie z prawdziwym interesem narodu niemieckiego i narodów sąsiadujących z Niemcami. Wyrazem tego był następnie wielki Kongres Narodów w Wie-

dnio, który zgromadził szeroki wachlarz ludzi rozumiejących, że istnieje zasadnicza, podstawowa sprzeczność między dobrem poszczególnych narodów — nie wyłączając narodu amerykańskiego — między prawdziwym dobrem wszystkich ludzi, troską o ich życie, zdrowie, rozwój, dorobek kulturalny gospodarczy — a dążeniami zmierzającymi do wywołania wojny.

W tej sytuacji, w końcu roku 1952 opublikowana została odpowiedź Józefa Stalina stwierdzająca, że wojna między Stanami Zjednoczonymi a ZSRR nadal nie jest koniecznością i wyrażająca gotowość Związku Radzieckiego do podjęcia rozmów w celu osłabienia istniejącego napięcia międzynarodowego.

Aby uprzytomnić sobie w całej ostrości wagę tej wypowiedzi stwierdzającej na dalsze lata możliwość pokojowego współzycia Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego wystarczy wglębić się w treść pierwszego z pytań zadanych Stalinowi przez amerykańskiego dziennikarza. Mowa tu o zmianie administracji w USA, która z początkiem bieżącego roku przechodzi w ręce republikanów. Wiadomo powszechnie, że partia republikańska odznacza się w stosunku do ustępującej partii demokratycznej jeszcze bardziej wstecznym społecznym charakterem w polityce wewnętrznej, zaś w polityce zagranicznej bardziej jawnymi i stanowczymi zamiarami wojennymi. Obecny prezydent Stanów Zjednoczonych generał Dwight Eisenhower w swej kampanii wyborczej wyraźnie podkreślał ten kierunek polityczny swego przyszłego rządu, a nominacja Johna Forstera Dullesa na sekretarza stanu rzuca tu również wiele światła.

JEST zjawiskiem niezmiernie wymownym, że mimo tych wszystkich wypowiedzi i wzmagającego się kursu wojennego w USA, Związek Radziecki pozostał konsekwentnie na swoim stanowisku pokojowym, wyrażającym gotowość do

bezpośrednich rozmów mających na celu osłabienie istniejącego napięcia międzynarodowego, stwierdzającym także na nadchodzące lata możliwość pokojowego współzycia Stanów Zjednoczonych i ZSRR, a sięgając głębiej możliwość pokojowego współzycia i współzawodnicstwa kapitalizmu i socjalizmu. O problemie tym mówił G. M. Malenkow — „Radziecka polityka pokoju i bezpieczeństwa narodów wychodzi z założenia, że pokojowe współzycie kapitalizmu i komunizmu oraz ich współpraca są całkowicie możliwe, jeśli istnieje obopólna chęć współpracy, gotowość wykonywania wziętych na siebie zobowiązań oraz przestrzegane będą zasady równouprawnienia i nieingerencji w wewnętrzne sprawy innych państw... Jesteśmy przekonani, że w pokojowym współzawodniczeniu z kapitalizmem socjalistyczny system gospodarki będzie z roku na rok coraz dobitniej wykazywał swą wyższość nad kapitalistycznym systemem gospodarki. Ale nie zamierzamy ucałować komukolwiek przemocą naszej ideologii lub naszego ustroju ekonomicznego”.

Wyrażając nie po raz pierwszy przekonanie o możliwości i potrzebie zachowania i utrwalenia pokoju Stalin w swej odpowiedzi na pytania korespondenta „New York Times” określa jednocześnie, że źródła obecnego napięcia międzynarodowego tkwią „wszędzie, i we wszystkim, gdzie tylko przejawiają się agresywne działania polityki „zimnej wojny” prowadzone przeciwko Związkowi Radzieckiemu”. Polityka „zimnej wojny” ogłoszona przez prezydenta Trumana jako najwyższy wykwit myśli politycznej ma dwa uzupełniające się oblicza. Z jednej strony jest to polityka osaczenia Związku Radzieckiego systemem cenzur, baz wojennych, militarystyki oraz stosowania blokady gospodarczej, polegającej na przecinaniu wszelkiej wymiany handlo-

wej między krajami kapitalistycznymi, a państwami socjalistycznymi. Z drugiej strony objawem tej „zimnej wojny” jest system dywersji, sabotażu i szpiegostwa, który pragnie się uruchamiać w krajach socjalistycznych, na co Kongres Stanów Zjednoczonych w sposób oficjalny przeznaczył specjalny fundusz. Polityka „zimnej wojny” zmierza do zastraszania krajów socjalistycznych wizją bomb atomowych i wodorowych oraz jednocześnie do zastraszania narodów zachodnich niebezpieczeństwem „agresji komunistycznej”. Polityka „zimnej wojny” polega na rozniecaniu zaborecznych dążeń rewizjonistów niemieckich, podtrzymywaniu rozbiicia Niemiec i tworzeniu faktów dokonanych wbrew zobowiązaniom powziętym przez wielkie mocarstwa. Podobnie wygląda ona na przykładzie Japonii, Włoch czy Austrii. Innym jaskrawym jej wyrazem jest niedopuszczenie do ONZ przedstawicieli Chin Ludowych, reprezentujących 400 milionowy naród i podtrzymywanie Ciang Kajszecka na Formozie. Polityka „zimnej wojny” polega wreszcie na tworzeniu wokół Związku Radzieckiego pierścienia baz wypadowych dla lotnictwa amerykańskiego, na przeprowadzaniu prowokacyjnych manewrów floty atlantyckiej oraz na ustawicznej intensyfikacji wyścigu zbrojeń. Wszystko to są akty wywołujące i zwiększające napięcie w sytuacji międzynarodowej. Równocześnie z tym wywiad amerykański próbuje organizować akcje szpiegowską i dywersyjną w krajach socjalistycznych, czego dowody zostały ostatnio na naszym terenie ujawnione. Te źródła napięcia międzynarodowego, nazywane „zimną wojną”, są nieustannym zarzewiem, które wobec ich agresywnego charakteru grozi przerodzeniem się w otwarty konflikt. Dlatego z całą bezwzględnością muszą one być demaskowane, dlatego droga do osłabienia istniejącego napięcia międzynarodowego prowadzi przez ich zmniejszenie i likwidowanie.

Stalin w swej odpowiedzi udzielonej James Restonowi wyraził swój pozytywny stosunek do możliwości spotkania z Prezydentem USA Eisenhowerem w sprawie osłabienia istniejącego napięcia między narodowego. Trudno przewidywać, czy inicjatywa taka będzie miała miejsce i jaki do niej wyrazi stosunek Eisenhower. Faktem natomiast bezspornym jest, że zarówno gotowość Związku Radzieckiego do prowadzenia rozmów dotyczących ogólnej sytuacji międzynarodowej jak i zgoda na współdziałanie w jakimś nowym przedsięwzięciu dyplomatycznym mającym na celu zlikwidowanie wojny w Korei — są dowodem, że Związek Radziecki nie tylko nie unika załatwienia najbardziej palących problemów międzynarodowych, ale jest skłonny podjąć rozmowy w celu ich rozwiązania. Ten nowy dowód pokojowej linii polityki zagranicznej ZSRR podrywa preparowany na użytek społeczeństw zachodnich zarzut agresywności zamiarów Związku Radzieckiego, wykazuje konsekwencję w dążeniu do zachowania i utrwalenia pokoju.

Jedno jest bowiem pewne. Wywiad Stalina — niezależnie od tego jak odnosi się do jego treści rząd krajów kapitalistycznych, przede wszystkim rząd USA — stanowi doniosły wyraz woli zachowania pokoju. Przez to samo potęguje on i wzmacnia walkę milionów uczciwych ludzi różnych poglądów i stanowisk społecznych, którzy zrozumieć, że pokój potrzebny jest wszystkim ludziom jak chleb i powietrze, i dla uratowania tego pokoju połączyli swoje dłoń.

T. M.

Notatnik wiedeński

Nasza rozmowa z Francuzami zostaje przerwana przybyciem kilkuset nowych delegatów, w tym części delegacji francuskiej, włoskiej, Iraku, Iranu itd. Przez wąskie drzwi wchodzi korowód ludzi zmierzających, nieogolonych, brudnych ale o rozpromienionych twarzach. „Nous voilà — przybyliśmy mimo wszelkich trudności ze wszystkich stron świata” — zdają się mówić ich oczy. Stoję przy drzwiach i witam się kolejno ze starymi przyjaciółmi, z ks. Depierre, z Vigne, z Brugier, z Scellą i wieloma innymi. Prof. Hirsfeld, jako badacz grup krwi, jest zachwycony. „Patrz pan — mówi — jakie żywe wrażenie tego tłumy delegatów. Żadnej monotonii etnicznej. Biali, żółci, czarni — a nawet między białymi czy żółtymi każdy inny, każdy z inną domieszką”.

Od nowo przybyłych Włochów i Francuzów dowiaduję się, po raz pierwszy, że w krajach zachodnio europejskich cała nieomal hierarchia kościelna wystąpiła przeciwko Kongresowi Narodów i zasadniczo księżom nie wolno w nim brać udziału. Z Włoch nie przyjechał żaden ksiądz i bardzo mało działaczy katolickich. Z Francji przybyło trzech księży, którzy otrzymali zezwolenie w drodze wyjątku, natomiast z pisarzy, redaktorów i działaczy katolickich nie przyjechał nikt znany. Ks. Depierre, człowiek najwyższej miary i jako umysł i jako kapłan, mocno był tym wszystkim zgnębiony. Już przedtem dowiedziałem się od postępowych katolików austriackich, którzy przyszedli odwiedzić Lubieńskiego i mnie w hotelu, że kardynał Innitzer zakazał duchowieństwu i katoli-

Ciąg dalszy ze str. 1

kom austriackim uczestniczenia w Kongresie. Austriacy przynieśli nam też wiadomość, dość nieprawdopodobną, że kuria arcybiskupia powiadomiła wszystkie parafie wiedeńskie, że żaden ksiądz uczestniczący w Kongresie skądkolwiek by nie przyjechał nie może być dopuszczony do odprawiania Mszy Św. w kościołach wiedeńskich.

Późną nocą wracam do hotelu. Jaskrawe neony orientują mnie, że otoczeni jesteśmy lokalami nocnymi o dźwięcznych nazwach: „Moulin Rouge”, „Bodega”, „Tabarin” itp. Przed tymi instytucjami przechadzają się młodzieńcy do złudzenia przypominający mohikanów naszego, warszawskiego, bikiniarstwa. Widać jednak — i teraz w nocy i w dzień — że w Wiedniu mają oni stokroć lepsze warunki rozwoju. Są panami pewnych ulic.

Przed snem przerzucam prasę i porządkuję wrażenia tego przedkongresowego dnia. Znowu to samo uczucie, co w czasie ostatniego pobytu w Paryżu, tylko w spotęgowanym stopniu. Coraz więcej rzeczy mnie razi.

Austrią rządzi stronnictwo katolickie, rządzi na spółkę z pravicowymi socjalistami ale niewątpliwie konserwatywni katolicy przeważają w kulturalno-społecznym życiu kraju. Nie wdając się w analizę klasowego i społeczno-gospodarczego układu Austrii

petryfikowanego przez aktualną władzę wystarczająco czysto zewnętrzne objawy obyczajowe by wzbudzić poważne wątpliwości co do moralnej i intelektualnej wartości tych rządów.

Bogactwo obok nędzy. Dużo o tym się pisze przez ostatnich kilka tysięcy lat. Bogactwo Wiednia ma te cechy, które ma każde nikczemne bogactwo. Obnosi się z sobą, pyszni się sobą i pogardza nędzą. Prostytucja. Prostytucja tutaj jest wprost niebywała. Do naszego hotelu co chwila zachodzą pary chcąc wynająć pokój na godzinę. Gdy gospodarz wyjaśnia im sytuację, odchodzą trzaskając drzwiami i wymyślając na „komunistów”. W hotelu nieopodal, gdzie mieszkają znajomi Belgowie, zarządcą jest doktor praw. Ten młody prawnik spędza życie na wystawianiu rachunków hotelowych, żona zaś jego, też absolwentka wyższej uczelni, proponuje swoją osobą przyjeźdnym gościom.

Prasa. Jedna tylko gazeta partii komunistycznej „Volks Stimme” pisze o Kongresie Narodów. W pozostałych dziennikach i tygodnikach ani słowa. Natomiast w dzienniku stronnictwa katolickiego duży artykuł o 15 najlepiej ubranych kobietach świata, z którego dowiadujemy się, że na pierwszym miejscu stawia się od lat ks. Windsor primo voto p. Simpson, na jedenastym zaś panią

Eisenhower. W jednym wielkim tygodniku kulturalnym katolickim „Die Furche” pół oficjalnym organie kościelnym w Austrii, znajdujemy następujące ogłoszenia: kilka anonsov poszukiwaczy ruin, rzecz dla nas szczególnie przykra (kupię ruiny, kupię ruiny) oraz całą serię matrymonialnych. Z tych ostatnich cytuję na chybił trafił: „Wdowa po lekarzu, 57/164 (ten skrót oznacza miarę w pa sie i wzrost) blondynka, pełnosmukła, (vollschlanke) zamożna, niezależna z radością wysłaby ponownie zamaż, najchętniej za weterynarza”. Dla mojej siostry, z dobrego domu, czterdziestoletniej, ale młodo wyglądającej, zamożnej, blondynki, 164, szukam katolickiego kandydata na męża, najchętniej studenta”.

W tych samych pismach obok ogłoszeń matrymonialnych i relacji z kursów piękności znajdujemy wiele artykułów o treści umoralniającej. Wynik tego umoralniania to właśnie spekulacja i rozpasane bogactwo obok nędzy i bezrobocia, to prostytucja i chuligaństwo, zakłamaną prasę, gospodarczy i intelektualny zastój kraju. Aby tych plag się pozbyć trzeba przystąpić do zmiany ustroju, który jest ich sprawcą. Tymczasem ci wszyscy, którzy te umoralniające artykuły piszą, tego właśnie ustroju zajadle bronią i równie zajadle szkalują wszystkie siły odnowicielskie.

(d. c. n.)

Dominik Horodyński

Andrzej KRASIŃSKI

O optymizmie cywilizacyjnym

JUŻ sporo czasu upłynęło od ukazania się w Tygodniku Powszechnym (nr 26/380) artykułu Stanisława Stommy pt. „Przeciwko pesymizmowi cywilizacyjnemu”. Poruszony problem i doniosłość wypowiedzi pozwalały obiecywać sobie wiele po dyskusji, która w dalszych numerach Tygodnika zaczynała się rozwijać. Trudno jednak uznać, aby jej przebieg zaspokoił te nadzieje. Dyskusja bowiem wyminęła najistotniejsze problemy postawione przez Stomnę, jakkolwiek niewątpliwie przyczyniła się do wyjaśnienia pewnych spraw. Bez wątpienia cennym głosem był artykuł ks. Mościckiego pt. „Jeszcze o kulturze”, który dając dużo materiału erudycyjnego może stanowić pomoc w dalszej dyskusji dzięki uporządkowaniu niektórych pojęć i terminów — szczególnie wieloznacznych w dziedzinie spraw kultury. Nie zmienia to jednak faktu, że zasadniczy problem postawiony przez Stomnę nie znalazł oddźwięku w dyskusji. A przecież Stomna sięgnął do źródeł schorzeń mieszczańskości myśli współczesnej. Atakując katastrofizm u jego podstaw podjął równocześnie krytykę tych wszystkich stanowisk pośrednich, które do katastrofizmu się nie przyznają, a które jednak świadomie lub nie, pozostają pod jego wpływem czy urokiem.

Współczesny katastrofizm musi zwracać czujną uwagę katolickiej myśli społecznej. Nie może bowiem chyba ulegać wątpliwości, że pewien rodzaj pesymistycznej metafizyki, który tkwi u podstaw katastrofizmu pozostaje w najbardziej zasadniczej sprzeczności z metafizyką chrześcijańską. Mimo to, bezsporne fakty mówią nam aż nazbyt wymownie o silnym wpływie różnych odłamów myśli katastroficznej na świat myśli katolickiej. Zjawisko to jest tak wyraźne, że wydaje się zbędne popierać ten pogląd przykładami i dowodze-

niem. Rezygnując z dowodu nie możemy jednak zrezygnować ze zbadań mechanizmu tego groźnego dla myśli katolickiej związku.

Wydaje się niewątpliwym — a w świetle wywodów Stommy zyskuje jeszcze na wyrazistości — fakt, że katolicka współczesna myśl o tyle skazana jest katastrofizmem, o ile skazana jest ona mieszczańskim sposobem widzenia świata.

Katastrofizm współczesny jest dziełem schyłkowej epoki mieszczaństwa, chociaż cywilizacja, której wartości on neguje, wzniesiona została właśnie rękami tegoż mieszczaństwa. Gmach myśli i wartości materialnych przerósł swych autorów i obrócił się przeciwko nim. Czy jednak zupełnie trafnie nazywać można burzującą autorem cywilizacji współczesnej? Świat mieszczański był niewątpliwie jej inicjatorem i organizatorem. Ale z biegiem czasu, w miarę ustalania się kapitalistycznej struktury życia zbiorowego, mieszczaństwo wnosiło coraz mniejszy wkład twórczy w dorobek cywilizacji, coraz wylaczniej zajęte troską konserwacji korzystnego dla siebie porządku. Wraz z zanikiem realnego, twórczego wkładu rośnie poczucie obcości w świecie współczesnym, poczucie lęku przed przyszłością — niemożność dostrzeżenia perspektyw rozwoju historycznego. Sądzę przeto, że niepodobna zrozumieć problematyki współczesnego kryzysu starego świata bez sięgnięcia do jego klasowych źródeł. I te partie artykułu Stommy wydają mi się szczególnie wartościowe, w których mówi on o roli kapitalizmu w kryzysie, jaki sroży się na Zachodzie, a którego skutki intelektualne ciągle dają się u nas dotkliwie odczuwać.

Poruszona sprawa posiada tak podstawowe znaczenie, że zasadnicza zgoda na wnioski Stommy nie zwalnia z dyskusji. Istotną rolę mają tu bowiem również argumenty, jakie wysuwa się na obronę tej tezy, oraz ważny jest także tok samego rozu-

mowania. Skoro więc nikt nie kwapi się do podjęcia postawionego problemu, ośmielam się zabrać głos w tej trudnej, bo niezmiernie rozległej dziedzinie, zarówno po to by przeciwstawić się pewnym formom dowodzenia owej racji, jak również w nadziei wzbogacenia dyskusji własnymi myślami.

Na wstępie pragnąłbym tylko odciąć się od tej często stosowanej formy dyskusji, w której po początkowych strzałach honorowych ku czci polemisty druga strona stara się po kolei obalić wszystkie jego sądy. Moje uznanie dla artykułu Stommy nie ma w sobie nic z tego rodzaju kurtuazyjnej hipokryzji. Szerokość problemu i fakt, że w jakimś stopniu wszyscy tkwimy w trwającym kryzysie i nie możemy zdobyć się na dystans potrzebny do zupełnie obiektywnej oceny historycznego momentu — wszystkie te okoliczności dopuszczają z konieczności różne punkty widzenia tej samej sprawy. Te same okoliczności każą jednak nie ustawać w rozważaniu tych problemów i w trafnym osądzie współczesnego kryzysu upatrywać konieczne oparcie dla spojrzenia w przyszłość.

*

NA POCZĄTKU wydaje mi się konieczne rozważyć zagadnienie terminologii, której znaczenie wykracza daleko poza zainteresowania semantyczne. Idzie o tradycyjny podział na kulturę i cywilizację, w którym mianem kultury określa się duchowy dorobek ludzkości, mianem zaś cywilizacji — dorobek materialny. Ażeby nie wypaczyć myśli Stommy trzeba podkreślić, że przyjmując ten podział, z naciskiem zastrzega się on przed ścisłym rozgraniczaniem tych pojęć. Stomna zaleca ostrożność w szafowaniu tymi terminami i zwraca uwagę na konwencjonalność, abstrak-

cyjność i roboczy charakter tego podziału.

Czy jednak te zastrzeżenia są wystarczające, czy zadowalają chronią przed niebezpieczeństwami, które zresztą sam Stomna dostrzega. Sądzę, że nie. Zważmy bowiem, że ten przyjęty z zastrzeżeniami podział staje się w dalszym toku artykułu i dyskusji mimo wszystko podziałem podstawowym, na którego tle rozważa się zagadnienie współczesnego kryzysu.

Niewątpliwie każda próba rozróżnienia i wyodrębnienia elementów pojęciowych z tak integralnej całości, jaką stanowi dorobek dzieł ludzkich jest zabiegami w jakiejś mierze sztucznym, może przeto i zaatakowany. Wszelkie tego rodzaju umowne klasyfikacje mogą znaleźć usprawiedliwienie w stwierdzeniu ich poznawczej skuteczności. Co do tego zaś rodzą się poważne wątpliwości.

Omawiany podział pojawił się stosunkowo niedawno i nie trzeba sięgać daleko w przeszłość, aby dojść do jego narodzin. Pojęcia cywilizacji i kultury w tym sensie w jakim zostały one użyte przez Stomnę wykrystalizowały się w XIX wieku i jest niewątpliwie, że pozostają w ścisłym związku genetycznym ze skrajnym idealizmem. Tylko w oparciu o to stanowisko filozoficzne mogła zrodzić się koncepcja tkwiącego i działającego w historii autonomicznego świata wartości idealnych.

Oczywiście Stomna tak jak i wielu innych pisarzy przeciwstawiających pojęcia kultury i cywilizacji nie wierzy w historyczną autonomiczność tego wyabstrahowanego świata wartości duchowych, mimo to jednak używając tego przeciwstawienia, w moim mniemaniu, zaciemnia wyraźny obraz przebiegu procesów historycznych.

Każdy najbardziej materialny twór człowieka jest elementem cywilizacji dzięki wartościom idealnym, tkwiącym w świadomości ludzi a po-

zostającym w związku z tym przedmiotem. Cywilizacja zatem, pojęta jako świat wartości czysto materialnych, byłaby składem rupieci nieuporządkowanych i hierarchicznie ze sobą niepowiązanych.

I odwrotnie. Treści duchowe dorobku ludzkości dopiero po „zmaterializowaniu się” nabierają kulturotwórczego znaczenia — stają się wartościami obiektywnymi i przekazywalnymi. Toteż jakiś wyabstrahowany świat wartości kultury, mógłby co najwyżej stanowić temat psychoanalitycznych dociekań, nie może natomiast przy obecnym stanie wiedzy być przedmiotem studiów historycznych czy socjologicznych.

Nie trzeba dodawać, że przedstawiony tu pogląd nie jest odosobniony i że większość autorów współczesnych zajmujących się sprawami kultury zdecydowanie odrzuca przeciwstawienie kultura — cywilizacja, i to niezależnie od światopoglądu i szkoły myślenia jaką reprezentują. Wystarczy zacytować tak skądinąd odległych od siebie autorów jak Jacques Maritain i Stefan Czarnowski, którzy w tej sprawie są całkowicie zgodni.

Antynomia kultura — cywilizacja nie odpowiada więc faktycznym warunkom rozwoju historycznego, jest natomiast wytworem świadomości ludzkiej, powstającej pod wpływem idealistycznego spojrzenia na świat. Choć pogląd ten jest w naszych czasach rozpowszechniony, stanowi on schorzenie świadomości ludzkiej. Jest to swego rodzaju „schizofrenia” świadomości historycznej człowieka, prowadzi bowiem do rozszczepienia ściśle ze sobą sprzęgniętych i powiązanych wzajemnymi zależnościami elementów kultury.

Nawet najsilniejsze rozpowszechnienie jakiejś choroby nie może skłaniać do uznania jej za stan normalny. Badając cywilizację i źródła kryzysu jakim ona podlega, musimy za punkt wyjścia przyjąć nie —

(Dokończenie na str. 11)

PRZED GENEZĄ

To było dawno — jeszcze nim się zaczął tworzyć dramat czasu.
Przyszłość spała bezpiecznie pośród zastępów tysiąceci
Które — jak wojska cierpliwie czekały aby runąć na świat.
Milczały pola bitewne — pycha nie zdążyła ich rozpalić
I w żadnym sercu jeszcze nie wołał przeciągły szloch śmierci
Nie przebudziło się życie.

Drzewa nie rozwiły skrzydeł aby walczyć z wichrami
I gniazda ptasie stały puste jak oniemiała pieśń
Nie było żadnych narodzin

Ani deszczów kosmicznych, którymi kiedyś zapłacie ciepła

Nie było nawet czegoś tak prostego jak droga po której mogłaby
stoczyć się iza

Bo świat jeszcze nie znał miłości —
I tylko przestwór pulsował utajonym trwaniem —
Zimny, bezdenny i czysty jak wszechwiedzący intelekt
I tylko śpiewały wody — ogromne wody wieczności
A Jego duch stał kolumną ognistą nad ciemnościami.



ADWENT

Dni mijały sieroce niby skarga martwych instrumentów —
Wieczorem stada gwiazd schodziły pić do Jordanu —
Najsmutniejszy prosił o dzień dla zabłąkanych okrętów
Modlitwy krążyły jak ptactwo, uchodząc w ciemne amen
A w Jeruzalem przecucie milczało chmurami dzwonnicy
W otchłaniach wołali unarli o strzep gromniczych światła
Wiatr rozbił szklane stawów, stuknął w okna bezdomne
Dławił szał dmem wieczoru szukał iskier zgasłych.
Hebrajski księżyc przerażał wersem mrocznego prorocтва —
O których wierzyli w światło nasłuchiwał echa
Lecz trątych ścieżek Pańskich jeszcze nikt nie prostował
Świat spływał mgłą jesienną, śnieg szeptał i prószwał w przepaść.

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

DZIEJE GWIAZDY

Ale już ktoś w kantorach zimne srebrniki zliczał
I Cedr dojrzał pod wichrem żałobą czarnej zieleni
Na wąski żłób stajenny na twarde drewno Krzyża —
Bo gwiazda miała się zrodzić i umrzeć dla zbawienia.



POSŁANNICTWO GABRIELA

Jak dwie ogromne rzeki włókł skrzydła i płakał
Tknięty rozkazem — piastun zawrotnej nowiny
Mijając noc wystygłą, wieże i kominy
Schodził niżej, gdzie zegar czas pusty obracał
Brnął przez widnokrąg trudny przez grząski śnieg godzin
Gdy sypią z mgławic trwania — szedł w podmuchach bystrzych
Bijących od tła zdarzeń — jego krzyk ogromny
Biegł niebem — brzask zaranny międzygwiazdnej misji. —
Łomotał dachy domostw, — łoża sprawiedliwych
Trwożył zjawą gwałtowną — w serca patrzył z bliska
Apokalipsom rzucał cień swój natarczywy
I chwał się pośród nocy jak w pieśni strzelistej
Kraży po stopniach czasu niby w śnie Jakuba
Z głębin kosmosu wiedzie smugę ogni wiecznych
Spowinie ciebie także hosanną jak chmura.
Wieczór nazaretański podając nam w pieśni.



NARODZINY GWIAZDY

Zdarzyło się to w czasie tak bezbrzeżnie cichym,
Ze nikt nie dostrzegł kiedy weszła nad horyzont.
Stada saren pierzchały łagodnie przed cieniem,
Rybak łowił w przerebli pieniąż kragłego księżycy,
Nieprzyjacieli wystrząsł nóż aby trafnie uderzyć,
I nawet łagodni pasterze usnęli przy martwych ogniskach.
Lecz światło najmłodszej gwiazdy poczęło cichutko kwilić
Jak płacze wszelkie istnienie nowo narodzone
I głos ten jakże bezbronny rozrastał się w katedrę
I łzami stanął w źrenicach wszystkich istnień pokornych.
Odtąd już wiekuisie gwiazda uderza o ziemię
I zło rozwiera pięści i burza przestaje grozić,
A jutro do serca twego smutnego jak szopa bezdomna
Wejdziesz i znów się narodzi błogosławieństwem miłości.



POKÓJ I GLORIA

Kiedy z rąk skrytobójcy wypada mściwy miecz,
Gdy gaśnie pożar wojen i ludy śpiewają nadzieję,
Kiedy myśliwy pozwala sarnom ująć w nurty puszczy
A zamiast przekleństw kantata przyjaźnią wiosenną dzień,
Dzieje się pokój na ziemi.

A kiedy ty — nieulekły — chcesz wywieść mnie z piwnicy
rozpaczy,
Albo gdy chleb przełamiesz z bratem proszącym u drzwi
I kiedy słowo „przebaczam” w twoich wyrokach zapłacie,
I sprzymierzają się dłonie aby odtwarzać sny,
Spełnia się czas dobrej woli.

I to jest chwała najczystsza,
Smuklejsza niż chorał dzwonnicy,
Jaśniejsza od konstelacji na szarfitach mlecznych dróg
Jeszcze lotniejsza niż gołąb rozkołysanych kędzielnicy
Jak runem owiec — pokojem, moszcząca przed Nim prog.

SKORO tylko — na redakcyjnym zebraniu poświęconym temu numerowi, jeszcze trochę świątecznemu — powstał projekt wywiedzenia się o aktualne oraz zamierzone prace naukowców i pisarzy, gdy ustalono, że ta „ankieta” ograniczy się do zgromadzenia odpowiedzi z zakresu literatury i zaczęto uzgadniać, na czyją życzliwą odpowiedź należy liczyć — nie można było powątpiewać, iż senior nieprzerwanie działających uczonych,

prof. Juliusz Kleiner

będzie miał do zakomunikowania coś ważnego i ciekawego.

I rzeczywiście, uzyskana chwila rozmowy pozwała na zamieszczenie tu wiadomości nadzwyczaj cennej. Prof. Kleiner informuje, że zajęty jest obecnie przygotowaniem naukowego wydania „Dzieł wszystkich” Słowackiego. Rozpoczął je wprawdzie jeszcze przed wojną, lecz z tamtych kilku tomów nie jest zadowolony, toteż redakcję zaczynał właściwie od nowa. Sześć tomów jest już całkowicie gotowych do druku, opracowanie zaś pozostałych dziesięciu — bardzo zaawansowane. Już w tym roku Zakład Narodowy im. Ossolińskich zacznie udostępniać to wydanie, którego zakończenie przewiduje się na rok 1955.



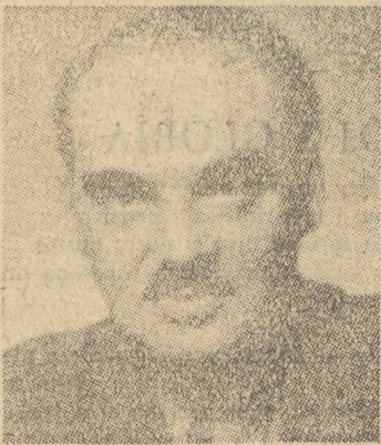
Ogromna ta praca, praca pionierska, bo wiadomo, jak bardzo zapóźnieni jesteśmy z tego rodzaju wydaniami, absorbuje Profesora do tego stopnia, że na razie woli nie mówić o swych dalszych planach. Zapytywany o projektowaną od dawna monografię poświęconą Ignacemu Krasickiemu, o jakiś nowy tom szkiców literackich, których — po czasopiśmie — zebrało się sporo, o to — czy nie zamierza wznowić studiów poprzednich, zupełnie wyczerpanych a jakże potrzebnych — Profesor nie zaprzecza, ale też niczego nie chce obiecać. Mówi o tym, co robię teraz — wyjaśnia — na poświęcanie się zamiarom, nawet nęcącym — gdy ma się moc zajęć konkretnych — uniwersyteckich i edytorskich — nie wolno sobie pozwalać.

★

Już po kilku zdaniach trzeba zrezygnować z bardziej lub mniej stereotypowych pytań i tylko prędko notować, co — z właściwą sobie nieco szorstką serdecznością — opowiada

Antoni Gołubiew

„Więc przypomina mi pan wileńskie „Zagary”. Istotnie, byłem jednym z założycieli tej grupy literackiej, z którą się później rozszedłem... Poematy prozą, satyryczna groteska „Mędrcy na arenie”, redakcja „Paxu” — nie mogłem wtedy przewidzieć, że inny „Pax” będzie mi książką wydawał — dawno to czasy.



„Ale moje „ambicje literackie” sięgają dawniejszych: zacząłem od opowiadania „Jak Janek pił kawę” — jeszcze przed pójściem do szkoły. Tylko o tym — zastrzega się spiesznie autor „Bolesława Chrobrego” — niech pan przypadkiem nie pisze, to wygląda na kokietery, chociaż jest prawdą. (Dziennikarska je-

dnak niedyskrecja nie zna granic — przyp. red.).

„Bolesława Chrobrego” rozpoczął w 1938 roku, lecz niewiele z tamtej redakcji zostało. Dlatego pod pierwszym tomem podpisuję datę właściwą, to jest rok 1941. W czasie wojny — ciągnie Gołubiew — zajmowałem się wprawdzie bardzo różnymi rzeczami, które niewiele mają wspólnego z literaturą — niektórzy krytycy wręcz powątpiewają, iż pisałem swą powieść w okresie okupacji... Krytycy! Gdybyż częściej chcieli się oni zajmować samą książką, zamiast własnymi na jej temat koncepcjami. Może to tylko mój uraz, ale doprawdy niewiele recenzji mogłem wziąć pod uwagę...

„Co, słysząc z pracą nad dalszymi tomami „Bolesława Chrobrego”?

— Czwarty jest prawie gotowy. Będzie się chyba nazywał „Święte truchła”. Nie podoba mi się ten tytuł, lecz narazie nie mam lepszego. Powieść skończy się pewnie na dwóch następnych tomach — „Żelazne słupy” i „Korona”. Mam je naszkicowane. Niedługo opuszczę Kraków, gdzie nie umiem pracować i znowu na dłużej zaszyję się w Górcach.

Następne plany? — Chcę pisać powieść o Adamie i Ewie, wydaje mi się, że da się tu wykorzystać ciekawe problemy...

„Zachnął się pan, gdy nie bez przekąsu odzywał się o krytyce literackiej. Ze przecież sam po trochu się nią zajmuję, że zabieram głos na temat Conrada, że — kronika teatralna. Nieregularność ostatniej wypowiedzi mi nawet Kisiel. Cóż, przez kilka lat nie przestałem tych recenzji pisać jako zastępca — nie mogę się przyzwyczaić, iż „Tygodnik” ciągle nie ma swego stałego sprawozdawcy... Teatr zresztą zawsze mnie żywo interesuje, mam nawet zamiar napisać coś większego na ten temat. Zarzys monograficzny? Obszerny essay? — nie umiem jeszcze powiedzieć, to sprawa dalszej dopiero przyszłości.

★

Z przyjemnością i zainteresowaniem czytamy list, który nadesłał

prof. Stanisław Pigoń

Jak wygląda bilans mojej pracy literacko-naukowej ostatnich czasów?

Po wojnie, poza pamiętnikiem młodości — owocem rekolekcji obozowych — wydałem w druku dwa tomy studiów historyczno-literackich: „Wśród twórców” (1947) i „Studia literackie” (1951), zawierające w przeważnej mierze rozprawy z dziejów piśmiennictwa i kultury duchowej XIX i XX w. Druga upodobana dziedziina badań: nad historią teatru staropolskiego wykazuje, jak dotąd, plon nieduży: rozrzucone po periodykach studia o utworach Mikołaja z Wilkowiecka, Jana Jurkowskiego, ks. Piotra Krasuskiego. W rękopisie leżą: wykończony obszerniejszy portret literacki Władysława Orkana oraz studium „Testament polityczny Wielkiej Emigracji”.

W związku ze wzmożoną po wojnie w księgarstwie naszym akcją redakcyjną, mogłem intensywniej rozwinąć prace filologiczno-wydawnicze. Za najchlubniejszy poczytuję sobie udział w „wydaniu narodowym” Dzieł Adama Mickiewicza. Opracowałem dla niego wydany już tom (III) Dramatów, a wykończyłem i oddałem do druku trzy tomy (XIV — XVI) Listów.

Prowadziłem też, w sporej mierze przy wydatnej pomocy zespołów studenckich mego seminarium, wydania zbiorowe „Dzieł wszystkich” dwóch autorów: Stefana Zeromskiego i Władysława Orkana. Wspólny ich los: nie zostały jeszcze doprowadzone do końca.

Pod lepszą może gwiazdą rodzą się dwa wydania zbiorowe obecnie przygotowywane. Nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego wyjdą w czasie niezbyt odległym 9-tomowe „Pisma wszystkie” Aleksandra Fredry o tak ściśle ustalonym krytycznie przeze mnie i z objaśnieniami opracowanymi wspólnie z prof. K. Wyką. Drugie wydanie zbiorowe: „Dzieł” Kazimierza Brodzińskiego ukaże się staraniem Wydawnictwa Ossolineum jako owoc pracy grona redakcyjnego (dr Z. Ciechanowska, prof. T. S. Grabowski, dr J. Korpała, mgr R. Skręt, prof. Cz. Zgorzeński), któremu mam honor przewodniczyć. I tutaj prace przygotowawcze posunięte są wcale daleko i lata najbliższe przyniosą pierwsze serie 12-tomowego kompletu.

Niezależnie od wskazanych, chciałbym w czasie również niedługim wydać przygotowane czy przygotowywane zbiory Listów: Zeromskiego (2 t.) i Orkana.

O pracach pomniejszych nie warto, a o zamierzonych nie ma odwagi mówić. Byłby to rachunek bez Gospodarza, który nie wiado-

W kręgu

mo jak długo pozwoli jeszcze pracować na zlecenym zagonie.

Stanisław Pigoń

★

Dobrze jest móc w sąsiedztwie profesora napisać słów kilka o uczniu. Ci, których zdziwi w pierwszej chwili wydrukowane niżej nazwisko — zainteresują się nim bez wątpienia, gdy — wykorzystując upoważnienie — objaśnimy, że

dr Zygmunt Falkowski

to — znany czytelnikom czasopism katolickich — poeta i publicysta występujący pod pseudonimem Jan Górski.



Ukończywszy polonistykę w Wilnie, tam też wydał Falkowski swoje pierwsze utwory w zbiorowym tomiku Koła Polonistów — „Pod Arkadami”. Prawie równocześnie rozpoczyna pracę naukową. W latach trzydziestych publikuje swoje studia sienkiewiczowskie, i ogłasza rozprawę „O estetyzmie Maurycego Mochackiego”. Trzecim pisarzem polskim, którym Falkowski szczególnie się interesuje — jest Norwid. O nim to wydał dotąd dwa studia: jedno — o tragizmie „Kleopatry” i drugie — syntetyczne.

Na pytania o prace będące „na warsztacie” — Zygmunt Falkowski chętniej odpowiada informacjami o swych studiach literackich, aniżeli o twórczości oryginalnej. I tak — ostatecznie wykańcza rzecz o „Listach” Sienkiewicza, gdzie próbuje rozwiązać problem ewolucji literackiej autora Trylogii od reportażu ku epice. Drugą pracą prawie gotową jest studium krytycznie syntetyzujące dorobek pisarstwa Sienkiewicza.

Falkowski ma również gotowy — rezultat wycieczki w literaturę niemiecką — szkic o tragedii Henryka Kleista — „Penthesilea”, a projektuje inne studium o dramacie, ściślej — o funkcji liryzmu w tym gatunku literackim, oparte na egzemplifikacji cech dodatkowych tej — jak to nazywa — „infekcji lirycznej” u K. H. Rostrowskiego i ujemnych — u Leopolda Staffa.

Swą twórczość poetycką traktuje Falkowski w rozmowie raczej marginesowo. Owszem, nie przestaje pisywać wierszy, trochę zajmuje się także przekładami z poezji, głównie francuskiej i rosyjskiej. W sposób przyjemny zaskakuje nas za to wiadomość, że poświęca się również epice. Już tylko przepisanie na maszynie wymaga 4-tomowa powieść-rzeka pod tytułem „Maski”. Ma to być tetralogia o tematyce współczesnej, czas akcji obejmuje lata 1880—1946.

★

Nawet do Warszawy do Instytutu Badań Literackich, z którym współpracuję, niechętnie wyjeżdżam z Torunia, żeby nie odrywać się od roboty — mówi

prof. Konrad Górski

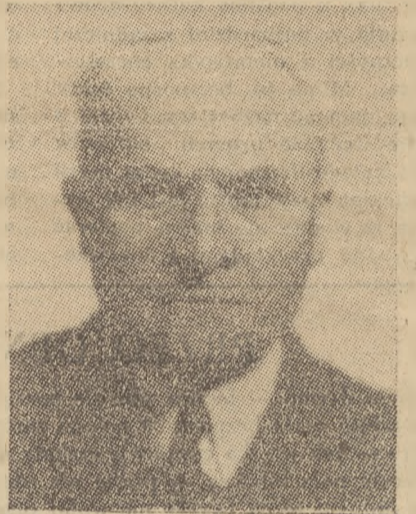
Korzystam z urlopu zwalnającego mnie z obowiązku prowadzenia wykładów oraz seminariów na Uniwersytecie i dzielę czas między dwa rodzaje zajęć filologicznych. Pierwsze — ciągnie się już od przeszło trzech lat, a potrwa jeszcze drugie tyle. Jest to opracowywany wspólnie z prof. Stefanem Hrabecem „Słownik Mickiewiczowski”. Niewiele jest dotychczas podobnych słowników. Anglicy mają słownik Shakespeare’a. Francuzi — Racine’a, w Związku Radzieckim — przygotowuje się obecnie Puszkowski. Nasz — chcemy ukończyć na stulecie śmierci poety. Zredagowana jest już część A—D, prace przygotowawcze osiągnęły literę G. To wcale

nie mało, jeśli wziąć pod uwagę, że słownik obejmie całość artystycznej spuścizny Mickiewicza, nie wyłączając wariantów, i pod właściwymi hasłami zacytuje wszystkie wyrazy użyte przez poetę. Mimo pracy całego zespołu redaktorów „wstępnych” — nam obu, mnie od strony historyczno-literackiej, prof. Hrabecowi, językoznawcy, w zakresie jego specjalności — pozostaje zawsze sporo zajęć przy każdym słowie. Zależy przecież na poprawnym zrozumieniu i jak najlepszym wyjaśnieniu stylu i języka poety. To moja tygodniowa norma — uśmiecha się profesor, wskazując duże pudło kartoteczne — około 1700 kartek. Nad Słownikiem pracuję przed południem. Drugą część dnia zawsze poświęcam...

Tu jednak potrzebne małe wyjaśnienie. Otóż IBL przystępuje obecnie do naukowych wydań naszych tekstów literackich XVI i XVII wieku. Prof. Konrad Górski — jako wybitny znawca tego okresu — jest członkiem Komitetu Redakcyjnego serii staropolskiej I.B.L.u. Nowość metody edytorskiej polega ma na tym, że nie będą to przedruki, lecz wydania fototypiczne, w wyjątkowych tylko wypadkach — jeśli dzieło jest popularne (np. „Krótka rozprawa” Reja) — uwzględni się również i transkrypcję tekstu. Podobnie jak ma się rzecz z wydaniem Słownika, o którym była mowa wyżej — stosuje się tu zasadę dwóch redaktorów odpowiedzialnych: historyka literatury oraz językoznawcy. Będzie to gwarancją opracowania poprawnego pod każdym względem.

Dopiero teraz można posłuchać, co zajmuje popołudnia i wieczory Profesora. Przygotował on będące już w druku trzy teksty: „Krótka rozprawa” (z prof. Taszykiem) oraz dwa antytrynitarskie dziełka Grzegorza Pawła (z prof. Kuraskiewiczem). Obecnie — również z prof. Kuraskiewiczem — pracuje nad „Postyllą” Reja.

Ośmielony tyłoma już informacjami — pytam jeszcze, czyżby autor rozprawy „Poezja jako wyraz” porzucił tymczasem swe zainteresowania teoretyczno-literackie. Zamiast od-



powiedzi — Profesor podaje mi niedawną odbitkę sprawozdań PAU. A gdy czytam tytuł streszczenia przedstawionej tam pracy: „Kryteria oceny dzieła literackiego” — dodaje: jeżeli czas pozwoli, to kiedyś powinno się to rozrosnąć; tematu starczy na całą książkę.

★

Coraz bardziej aktywna działalność polityczna i społeczna nie zagraża — jak się wydaje — by

Jan Dobraczyński

utracił miał opinię niezwykle pracowitego pisarza.

Jak właśnie informuje, ostatnio skończył i przekazał „Paxowi” nową swą powieść pt. „Niby drzewa chodzące”. Tematem jej — główna akcja trwa niecałe 24 godzin — jest szpital dziecięcy. Problematyka powieści obejmuje z jednej strony zagadnienia życia małżeńskiego, z drugiej — zawodowe sprawy lekarskie. Bohaterami powieści są: Antoni, literat, Krystyna — jego żona, oraz Anna, lekarz — chirurg, znani już z fragmentów drukowanych w „Dziś i Jutro”, „Tygodniku Powszechnym” oraz w „Słowie Powszechnym”. Inne rozdziały swej ostatniej powieści czytał Dobraczyński podczas wieczorów literackich zorganizowanych w Sosnowcu, Bytoniu, Dąbrowie Górniczej, Olsztynie i Poznaniu.

Autor „Gwałtowników” nie zarzuca również eszastyki. Dużo pracy poświęca rozbudowaniu swych artykułów drukowanych po czasopiśmie, chce bowiem stworzyć tom szkiców literackich, który by zarysował sylwetki bardziej i mniej znanych współczesnych autorów

literatury

katolickich. Znajdą się tu Graham Greene, Marshall, Waugh, Cesbron, Schneider, Andres, Coccioli, Powers, Robinson, St. Exupéry, Chesterton i inni.

Dobraczyński lubi pracować niemal równocześnie na kilku warsztatach. Trzecim przedmiotem jego obecnej pracy literackiej są opowiadania z życia Matki Bożej, które w zamierzeniu autorskim stworzyć mają pewną całość, obejmując okres od Zwiastowania po Uciecz-



kę do Egiptu. Będzie to rodzaj apokryfu, więc tom gatunkowo zbliżony do „Listów Nikodema”.

I wreszcie — dowiadujemy się od autora, że przygotowuje się do pisania powieści o Podhalu z połowy ubiegłego stulecia. Za bohatera jej obrał Dobraczyński proboszcza z Sidnicy — polskiego Jana Viannę — księdza Wojciecha Bleszyńskiego.

★

Zofia Starowiejska-Morstinowa

przesłała następującą odpowiedź:

Warsztat publicysty jest zawsze pełny roboty. Tłoczy się na niego wszystko: książki, polemiki, zagadnienia dyskutowane w prasie, kwestie wiszące w powietrzu. Publicysta przechodzi od tematu do tematu. Oczywiście, niektóre — okresowo — biorą górę. Muszę więc podzielić odpowiedź na przeszłość i przyszłość. Z przeszłości — najbliższej — mam kupę krytyk, szkiców o różnych pisarzach, artykułów i studiów na tematy aktualne, literacko-kulturalne. Mam też dość sporo essayów innego typu, które piszę stale (choć nieregularnie) przeplatając je z pracą recenzenta. Są to obrazki, szkicowane z życia. Refleksje na tematy nieliterackie.

Jeśli chodzi o przyszłość to obecnie więcej od literatury zajmuje mnie historia. Essay historyczny. Mam w projekcie parę szkiców w rodzaju „Hieronim syn Euzebiusza” z tematyki biblijnej. Także — od lat pieczołowicie projektuję szkicu-essaju o Kochanowskim. O królowej Bonie. W ogóle o ludziach naszego Re-



nesansu. Rzeczy na pograniczu studium literackiego i historyczno-kulturalnego. Radabym napisać rodzaj „Kabały historii” o Polsce, łącząc w studiach zagadnienia historyczne z aktualnymi, a raczej z platformy dzisiejszej dawne fakty oceniając. A jeśli pisarz mówi, że ma w projekcie — to znaczy że ma rzecz najważniejszą: koncepcję. Trzeba by już tylko czasu — i pracy.

Zofia Starowiejska-Morstinowa

★

Czytelnicy nasi, którzy śledzili dyskusję o „Ludziach znad zatoki” nie wezmą chyba za złe, że

Andrzej Łepkowski

w swej odpowiedzi na ankietę wykorzystał również i przysługujące mu prawo ostatniego słowa „oskarżonego”.

Oto list naszego debiutanta:

W sztuce trudno planować. Muzy — jak wszystkie kobiety — są kapryśne, albo niezdecydowane. Ileż to razy miałem zamiar coś napisać albo narysować, a w ostatniej chwili „podsował” mi się nowy pomysł. Porzuciłem dla niego wizję, którą długo nosiłem. Wracała później, ale zmieniona, jak ktoś bliski, który się postarzał. Jeżeli była naprawdę silna — znowu nie dawała mi spokoju, jeżeli okazała się tylko zachcianką — szybko rozmazywała się, aż wreszcie zupełnie ginęła.

Pisząc „Ludzi znad zatoki”, chciałem odnaleźć swoje dzieciństwo w faszystowskim Gdańsku, później przebrnąć przez lata okupacji Wybrzeża, które znałem już tylko z dokumentów i opowiadań, wreszcie — utrwalić moją radość z powodu powrotu nad odzyskaną Zatokę, po sześciu latach nieobecności. Książka miała być pierwotnie epopeją rybacką (zamierzony tytuł: „Rybacy”), ale w trakcie pisania zauważyłem, że o wiele więcej mam do powiedzenia na temat gdyńskich businessmenów, Gdańszczan, wreszcie hitlerowców. Kto wie, czy nie wrócę kiedyś do tego tematu. Myślałem o trylogii, która sięgała by o wiele dalej niż dzieje roku 1945.

Powieść, którą obecnie kończę, zacząłem przed rokiem w Krakowie. Będzie ona studium psychiki ludzi młodych i starych, żyjących w zabytkowym mieście nad brzegiem Wisły (celowo nie wymieniam nazwy tego miasta).



Największą moją troską jest nadanie każdemu utworowi takiej formy, ażeby wizja odbiorców pokrywała się z moją własną. Jeżeli uda mi się znaleźć wspólny język z czytelnikiem, mam możliwość kontrolowania prawdziwości moich odkryć. Człowiek i pejzaż to paleta o szerokiej skali odcieni, którą należy się w ten sposób posługiwać, ażeby poruszyła nawet daltonistę.

Dziękując się spostrzeżeniami z czytelnikiem w niewielu wypadkach natrafiam na złą wolę, albo bierny upór. Niestety, równie rzadkie są rzeczowe i wnikliwe krytyki. Po napisaniu pierwszej mojej powieści oczekiwałem rad i wskazówek a spotkałem się z jednej strony z naprawdę niezasłużonymi pochwałami, z drugiej — z krytyką zalecającą uzdrawianie mojej „neurastenicznej” prozy metodą szkiców. Obawiam się, że zastosowanie jej dałoby obraz zbliżony raczej do przysłowiowej „walki z wiatrakami” (albo, jak kto woli — „z czym do gościa”?). Wobec „Ludzi znad zatoki” (w znacznej mierze — przynajmniej — etudy prozatorskiej) podobna krytyka uderza w próżnię. Zarzut, że ktoś komponuje piosenki i tańce, zamiast pisać patetyczne opery, zupełnie nie bierze pod uwagę indywidualności temperamentu.

Z głosów prasy na temat mojego debiutu wyłowilem kilka uwag, które pokrywały się z moim nieczystym sumieniem. Były one trochę wyrzucone na brzeg głównego nurtu krytyki, jednak zapamiętałem je, żeby w przyszłości uniknąć błędów, które mnie jakby niechętnie demaskowały.

Z pracy warsztatowej największą satysfakcją sprawia mi obróbka wiersza, to jest doprowadzanie go do najbardziej czystego konkretności. W chwili, gdy utwór wędruje do druku wydaje mi się, że absolutnie nic więcej z niego nie wydobędę, a jednak kiedy stykam się z nim powtórnie, z żalem stwierdzam braki, które przeoczyłem. Chciałbym w najbliższym

czasie zebrać i poprawić moje dotychczasowe wiersze i zastanowić się nad ich zilustrowaniem.

Teraz pracuję nad zbiorem nowel myślowych. Nie będzie to kalejdoskop egzotycznych przygód, ale portrety ludzi z różnych środowisk, których łączy wspólna namiętność.

Jeżeli idzie o plastykę, która pomaga mi w poezji i prozie, najbardziej zależy mi na studiowaniu portretu. Człowiek jest najdoskonalszą syntezą wyrazu, koloru i formy. Studia nad nim doskonałą rzemiosło i pogłębiają kulturę malarzką. Poza portretem najbardziej mnie pociągają ilustracje, w szczególności ilustracje do bajek. Nieograniczone możliwości koloru-wyrazu, precyzji technicznej, deformacji, znajomości kostiumologii, architektury, wreszcie cała plastyczna rekwizytoria — wszystko to podobne jest do techniki tworzenia drobnych lirycznych form poetyckich, a ten rodzaj pracy — jak wspominałem — najbardziej lubię.

Andrzej Łepkowski

★

Prof. Irena Sławińska

Wykładowcę Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego prosimy o wywiad w chwili, gdy wraca z seminarium. To daje temat do pierwszego pytania:

Zakres pracy seminarium prowadzonego przez panią Profesor wiąże się zapewne z kierunkiem Jej działalności naukowej. Chcielibyśmy wiedzieć, nad czym Pani teraz pracuje?

Obecnie, jak zresztą i zawsze, interesuje mnie szczególnie teoria dramatu. Prowadzę monograficzny wykład z tej dziedziny oraz seminarium na temat pogranicza dramatu. Sprawą, która mnie najbardziej interesuje są problemy języka dramatu. W tym kierunku idą też rozważania na seminarium.

Jednym z terenów pracy naukowej Pani Profesor są sprawy twórczości Norwida. Czy mogłaby nam Pani coś na ten temat powiedzieć?

Mam gotową pracę o komediach Norwida. Zbieram dalsze materiały do twórczości tego poety. Prowadzę też o nim wykład monograficzny. Będzie to, jak również seminarium z liryki, m. in. podbudową do pracy, jaką mam zamiar obecnie się zająć. Przygotowuję mianowicie opracowanie liryków Norwida. Opracowania takiego dotąd nie ma, a zagadnienie jest ciekawe. Do pracy nad nim wciągają także młodzież, która interesuje się tymi problemami.

Podobno zajmuje się Pani jeszcze twórczością przekładową?

Tłumaczę teraz Simone Weil dla „PAX“-u. Działalność wydawnicza „PAX“-u uważam za bardzo pożyteczną. Dzięki niej zostało rozpoznanych wiele cennych pozycji z literatury katolickiej. O przydatności tych książek świadczy fakt, że wiele z nich jest już wyczerpanych, m. in. dwa dzieła D. Ropsa, tak zbliżające do Ewangelii.

(es)

★

Wojciech Żukrowski

niebywale pomaga w robocie — jak on to nazywa — „wywiadnika”. Ponieważ treść tej rozmowy zbiegnie się w numerze z recenzją ostatniej książki Żukrowskiego — słusznie chyba należy przeprowadzić ją inaczej aniżeli dotychczasowe.

Znam pana jeszcze z Wrocławia. Mieszkałem tam parę lat... Czy nie jest panu żal, że pan wyjechał? Jakoś pańskie nazwisko było na trwale związane z tym miastem... Szkoda, że to uległo zerwaniu.

— Mylił się pan, nie ma mowy o zerwaniu. Zmieniłem tylko mieszkanie, a nie serce. Z Wrocławiem nadal łączy mnie, prócz wspomnień z burzliwych lat pionierskich i tych nie-licznych, których ośmielałem się nazwać — przyjaciółmi, świadomość długu jaki zaciągnąłem wobec ziemi śląskiej. Po prostu miałem tam dowody, że się przydaje, że mnie zwyczajnie lubią.

Jakże rzadko dzisiaj się zdarza, kiedy pan odwiedza kolegów, żeby powiedziano przy siedaniu do stołu: „zajmij swoje zwykłe miejsce”... Zdaje mi się, że we Wrocławiu mam jeszcze parę domów, gdzie w kręgu najbliż-

szych zostawiają dla mnie miejsce, jak dla członka rodziny.

Nie. Nie zapomniałem o Śląsku. W dalszym ciągu próbuję mu służyć. Organizowaliśmy miesiąc trwającą akcję spotkań literackich na Opolszczyźnie. Współpracowałem nad kalendarzem dla Ślązaków. Opracowuję wraz z kolegami Bartelskim i Szewczykiem antologię prozy, która by dała przegląd najważniejszych wydarzeń historycznych i społecznych dotyczących dziejów Śląska. Brakowało dotkliwie, jak wiele razy stwierdziliśmy w rozmowach z mieszkańcami Nadodrza — książki, która by pokazywała wkład tych ziem w kulturę polską, podkreślała bohaterską drogę przedzierania się ku Macierzy. Książka taka powinna oddać sprawiedliwość Ślązakom i stać się źródłem łatwych do przyswojenia, bo zbeletryzowanych, informacji dla osiedleńców, powinna utrwalać wzajemny szacunek w zrastającym się narodzie.

Cieszę się, że mogę to zapisać. Odeptyw artystów z Wrocławia, budzi zrozumienie żal... Ale wracamy do twórczości. Pan co roku wypuszcza książkę, czego więc mamy oczekiwać w przyszłym?

Tomu opowiadań. Zebrało ich się sporo z ostatnich pięciu lat. Tom ten wydaje mi się niezbędnym ogniwem, ułatwi zrozumienie drogi, którą wybrałem. Książkę wyda PIW. Zaproponowałem tytuł „Opowiadania na niepokodę”. W zbiorze znajdują się duże opowiadania, publikowane w kwartalnikach. Ten rodzaj periodyków ma to do siebie, że nim się ukáže następny numer, czytelnik zapomina o istnieniu wydawnictwa. Zresztą i zasięg jest dość ograniczony. Myślę, że ucieszy czytelników, jeśli powiem, że w tomie znajdują się opowiadania: „Kola”, „Noce Ariadny” i „W kamieniołomie”, ogarniające tematycznie czas od okupacji po współczesność.

Książki pańskie cieszą się dużą poczytnością, są cenione, nagradzane, ale nas interesuje, którą książkę uważa pan za najlepszą, którą pan najbardziej lubi?

Baśń „Porwanie w Tutiurlistanie”. Czasami autor ma uczucie, że jakiś trwały ślad może po nim pozostać... Kiedy przerzucam moje książki, wydaje mi się, że „Porwanie” się nie zstarzało i będzie bawiło niejedno pokolenie dzieci. I tu mam swoją ambicję... Jeśli wryję się w pamięć dziecka, pozyskałem dorosłego czytelnika...

A co się stało z „Córeczką”? Nigdzie jej nie widać!

Z którą? Ta żywa rośnie, bawi i dokucza. A książka dosłownie została rozchwytana, znikła. Z właściwym sobie spokojem, Dom Książki planuje dopiero drugi nakład.

A nad czym pan obecnie pracuje?

Nie lubię mówić o pracach zaczętych. Wolę powiedzieć o tym, co już kończę... Dwie książki dla dzieci: „Polewany garnuszek”, jest to historia związana z gliną... Niech się pan nie krzywi, wiem, że zapowiedź pobrzmiwa nudą... Jednak to będzie książka pełna przygód, zabawna i pogodna. Druga — to podróz dzieci śladami Kopernika. Obie książki powstają przy ścisłej współpracy z historykiem sztuki, dr Tadeuszem Przytkowskim. Zajmuje się on re-



gulowaniem zegarów słonecznych, kolekcjonowaniem przepisów na zupę cebulową, a czasami i fotografowaniem. „Nasza Księgarnia” wydała już na próbę jedną naszą książeczkę. Napisałem ją do fotografii Przytkowskiego. Może pan widział „Słoneczne lato”? Jak dotąd omawiano ją życzliwie...

Jeszcze chciałbym się dowiedzieć jak powstały „Dni kłęski”, skąd pan czerpał materiał do tej powieści?

Kampania 39 roku nie została jeszcze opracowana krytycznie. Ciągłe pojawiają się nowe dokumenty ujawniające błędy sanacyjnej poli-

(dokończenie na str. 6)

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (33)

SMAK DOJRZALEJ GORYCZY

I

WOJCIECH Żukrowski wydał nową powieść. Jest to próba dokonania — z perspektywy trzynastu lat — surowego rozrachunku artysty z kłęską wrzesniową.

Pisarz ten raz już podejmował taką próbę. W tomie nowel „Z kraju milczenia”, wydanym „zaraz po wojnie” odnotował historię rozżagwionego września w kilku plastycznych obrazach. Był to jednak niejako zapis niecierpliwego, namiętnego artysty — kronikarza, zapis fragmentaryczny, nieożywiony ambicją artysty — historyka, niepogłębiony analizą uczestnika świadomego sensu dziejących się faktów. Ułańska krzepa, biologiczny wigor, cały fantazyjno-zadzierny czar „Lotnej” — to jedynie marginesowa suita pisarskich wspomnień, zdeorganizowanych i splotonych nieświadomą — być może — obawą przed podejmowaniem wysiłku poznawczego, obawą będącą pośrednim wyrazem braku zaufania do własnej wiedzy o świecie, własnego dostrzegania związków między rzeczami.

Od tomu „Z kraju milczenia” do „Dni kłęski” wiedzie kilka lat wojennego dojrzewania pisarza, kilka lat z bogactwami wiedzy o świecie, poznawania mechanizmu dziejów, doświadczania złożonej prawdy o losach ludzi i narodów. Nowa powieść to już nie tylko pamiętnik, to także artystyczna i ideowa próba dojrzalszego spojrzenia na tragedię sprzed trzynastu lat, próba zrozumienia tej tragedii.

II

ARTYSTYCZNYM depozytariuszem doświadczenia społecznego pisarza, i jego pogłębionego rozumienia historii jest w „Dniach kłęski” Antoni Nowosad. On chyba przede wszystkim stanowi — mówiąc wulgarnie — pozytywny wykład poglądów społecznych pisarza, podległych

*) Wojciech Żukrowski: Dni kłęski, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, str. 307, Warszawa, 1952.

W kręgu literatury

(Dokończenie ze str. 5)

tyki, nieprzygotowanie, głupotę i zdradę. Z konieczności musiałem się posługiwać nielicznymi opracowaniami taktycznymi, jeśli słowo — taktyka — może mieć tu swoje zastosowanie. Dowodzenie po rozpruciu frontu przez dywizję pancerną, bardzo wczesnie wymknęło się z rąk sztabu głównego. Pisałem książkę z własnych przeżyć. W bitwie o Różan brałem udział przy baterii, jako oficer ognio- wy. Po sforsowaniu Narwi, wycofywałem z resztkami dywizji, pod naciśnięciem Wehrmachtu, aż pod Tomaszów Lubelski, gdzie zostałem ranny i wzięty do niewoli. Tym samym szlakiem poprowadziłem mego bohatera powieści — podchorążego Nowosada. Myślę, że dzięki temu ładunkowi osobistych wspomnień książka jest prawdziwsza, oczywiście, jeśli pisarz może polegać na swojej pamięci.

Czy mógłby Pan — właśnie jako autor „Dni kłęski” — powiedzieć, co Pan sądzi o „Wrześniu” Putramenta.

Między naszymi książkami, mimo, że się nie porozumiewaliśmy, jest zaskakująca zbieżność tematyczna. Putrament ukazuje przesilenie w sztabie, małość ludzi i zdradę, biorąc jako przykład właśnie chaos w rozkazach skierowanych do grupy operacyjnej „Narew”.

Skutki tych rozkazów w linii frontu, odczułem na własnej skórze. Opisałem przełamanie umocnień nad Narwią. „Dni kłęski” — to dokument

prawy wieloletniej krystalizacji. Jakoś dopowiada go Broniek Babicki. Negatywnemu punktowaniu problematyki służą w pierwszym rzędzie Mulewicz i Gembarzewski. Postacie epizodyczne i drugoplanowe mają — między innymi — ukazywać różne stopnie i różne stany świadomości społecznej narodu polskiego w okresie wrzesniowym, a tym samym wyrażać poszerzoną kilkuletnim doświadczeniem wiedzy pisarza o rzeczywistości historycznej i siłach ją kształtujących.

Problematyka społeczno-polityczna nie występuje w „Dniach kłęski” jako odrębna, czy pierwszoplanowa sprawa pisarskiego zamierzenia, lecz wtopiona jest w ogólny klimat utworu, wpisana w malarskie raczej niż kronikarskie przedstawienie pewnej części wydarzeń, składających się w swojej sumie na tragedię wrzesniową. Laboratoryjnie sztuczne wyodrębnienie tej problematyki ma w rozważaniach krytycznych służyć jedynie jej bardziej planowemu omówieniu.

Wojciech Żukrowski głębsze przyczynny kłęski wrzesniowej ukazuje w swojej powieści poprzez skutki. Zdeorganizowana armia, zdeprawowana policja, pełne antagonizmów życie poszczególnych warstw, cynizm i tchórzostwo lub poetycko-kmieciowa fanfaronada młodych pupilków burżuazji — wszystko to każe myśleć o sprawczej sile, o źródłach ustrojowych dekonspirowanej przez wojnę słabości i zła. Jest to metoda bardzo pośredniego, chciałoby się powiedzieć: rykoszetowego przedstawiania w pisarski sposób wyrażonego sądu o rzeczywistości. Ta metoda, rozciągająca się zresztą i na ukazywanie twórczych, narastających w swym świadomym rozwoju historycznym, sił narodu — wymaga dopowiedzenia, musiała oprzeć się o system konkretniejszych, bardziej bezpośrednich znaków pisarskich, mających wyeliminować ewentualne niejasności, usunąć w czytelniku pytańki, wyrugować wielokropek koncepcyjny, zamienić go w zdecydowaną —

oczywiście, na miarę doświadczeń autora — kropkę nad i.

Tę funkcję spełnia dodatkowo Antoni Nowosad. Jemu autor ofiarował w swej powieści największą ilość elementów wiedzy o rzeczywistości, jemu kazał się zetknąć ze świadomymi komunistami, jemu pozwolił przeżyć Mulińskiego, Babickiego, Gembarzewskiego, by stali się żywymi ilustracjami różnych rodzajów doświadczenia życiowego, jemu pozwolił ujrzeć całą anarchię i bezład końcowej fazy walk nad Bugo-Narwią, jego wrzesnie wysłał po nowe doświadczenia za Bug, na długi pobyt w Związku Radzieckim.

Z tak skonstruowanego planu problematyki społeczno-politycznej dość wyraźnie odczytać można nowy, pogłębiony i rozszerzony wykład pisarza o gorzkiej rzeczywistości wrzesniowej, która wyrosła z polityki sanacyjnej Polski, a zrehabilitować się mogła jedynie dzięki wkroczeniu do historii nowych, ludowych sił. W stosunku do „Lotnej” z pierwszego tomu nowel to ogromny krok naprzód. Widać po „Dniach kłęski”, że siedmiolecie Polski Ludowej, nowa suma doświadczeń, pogłębiła w autorze rozumienie praw rządzących historią. „Dni Kłęski” odnotowują w tym zakresie dni zwycięstw Żukrowskiego.

III

POSTAWMY jednak sprawę jasno. Nie na rygorystycznej — miejscami nawet, jak w zakończeniu, zbyt rygorystycznej z psychologicznego punktu widzenia — poprawności społeczno-politycznej polega specyfika „Dni kłęski”. Nie tym urzeka książka czytelnika. Bo nie będzie przesadną surowością stwierdzenia, że gdyby powieść wrzesniowa Żukrowskiego sprowadził ktoś jedynie do jej funkcji analityczno-poznawczej, gdyby ktoś interesował się „Dniami kłęski” jedynie jako dokumentem artystycznym, mającym ukazać w sposób poznawczy, w sposób odkrywczy mechanizm dziejowej tragedii sprzed trzydziestu lat, trzeba by tę wartościową pozycję wstawiającą między przeciętne, nie wykraczającą poza łatwą konwencjonalność, wspomnienia żołnierskie.

Nie lubię porównywać pisarzy, ani ich dzieł. Wszelkie takie porównywania, jeśli prowokują do wartościowania, a nie poprzestają na opisie, łatwo grzeszą demagogicznymi uogólnieniami. W poprzednim artykule z cyklu „Obrachunków” pisałem o „Wrześniu” Putramenta. Zestawiając te dwie książki, zestawia się dwie najlepsze powieści o naszej wielkiej przegranej. Syntetyczna konkluzja z tego porównania zamyka się w podkreśleniu istotnych elementów wrażeń, wywołanych lekturą. Putrament dał rzecz pasjonującą intelektualnie, socjologicznie, politycznie, Żukrowski dał rzecz piękną, plastyczną, malarską. Inaczej Putrament ukazał zjawiska społeczne w ich wszechzależności. Żukrowski przedstawił je w ich bogactwie doznaniowym. Putrament prowokuje pamięć do poznawczej pracy. Żukrowski nakazuje jej odżyć w doznaniach. Najbardziej: Putrament zainteresował, Żukrowski wzruszył, „Wrzesień” jest przede wszystkim ciekawy, „Dni kłęski” przede wszystkim ładne. Oczywiście, nie znaczy to wcale, że „Wrzesień” nas nie wzrusza, a „Dni kłęski” nie interesują. Wiele kart książki Putramenta pulsuje w odbiorze czytelnika żywymi uczuciami, wiele stron powieści Żukrowskiego czyta się z zapartym tchem. Zresztą: myśl jest często wzruszeniem, a wzruszenie myślą. Nie zamierzam sugerować mechanicznych podziałów. Zestawienie to ma na celu jedynie podkreślenie dominant, wypuklenie specyfiki, uwyrażenie głównych zasad artystycznego organizowania dzieła.

Nie chcę kruszyć kopii o słuszność samego zestawienia. Niech się ono przyda tylko jako pomocnicze rusztowanie, jako hipoteza robocza, mająca zbliżyć nas do zrozumienia charakteru i istoty pisarstwa Wojciecha Żukrowskiego.

To, co stanowi o specyfice „Dni kłęski”, to, co czyni je tym, czym są — wynika przede wszystkim z organizacji artystycznej, z osobowości pisarskiej, z klimatu, temperamentu, wrażliwości słowa. Z niepowtarzalnej w ramach innej indywidualności intensywności reagowania szluka na świat, intensywności w tym natężeniu i w tym kierunku właściwej tylko Żukrowskiemu.

Nie umniejsza to w niczym ważności wkładu intelektualnego, nie obniża ani na chwilę znaczenia świadomych przeobrażeń i krystalizacji ideowej autora. Przeciwnie. Zdolność spajania tych spraw w jedno z plastyczną, wielobarwną i wielokształtną wizją rzeczywistości wszystkim elementom dzieła nadaje wyższą rangę znaczeniową. Nie zmienia to jednak faktu, że kto naprawdę zbliżyć się chce do Żukrowskiego, do jego pięknej prozy, zamiast zbyt żywo machać chorągiewkami sygnalizacyjnymi na drogach Antoniego Nowosada, winien bez fałszywych obaw pochylić się z mikroskopem nad żywą tkanką jego utworu, nad słowem, które jest człowiekiem.

IV.

WIELE razy trzeba robić w krytyce siekię, by karczować to, co karczować trzeba. Ale również należy sięgnąć po mikroskop, gdy przedmiot tego wymaga. Jeśli inaczej nie można nazwać troski o dojscie do tajemnicy sztuki pisarskiej określonego twórcy, jeśli nie ma innej nazwy dla chęci uchwycenia najbardziej zdawałoby się drobniawych, a w istocie podstawowych i merytorycznych zagadnień jego pisarstwa — trudno, niech się to pochylenie mikroskopowe nazywa „robotką formalistyczną”. Jest jednak koniecznym zabiegiem analitycznym.

Na czym polega istota pisarstwa Żukrowskiego? Co sprawia, że książka Żukrowskiego, a zwłaszcza „Dni kłęski”, to książka, która musi „brać”, do której się wraca? Każdy pisarz zdobywa nas tym, że pokazuje nowe, pokazuje to, na co patrzymy, a czego nie umiemy zobaczyć, to co widzimy, a nie umiemy przeżyć, to, co przeżywamy, a nie umiemy wyrazić. Przewaga pisarza nad nami polega na tym, że on nazywa rzeczywistość, nazywa rzeczy, wzruszenia, myśli, uczucia. Nazwanie zjawiska jest nadawaniem tym zjawiskom życia w naszej świadomości. Stany nienazwane są stanami, które czekają na to, by się w nas stać. Ten pisarz, który je nazywa najtrafniej, najzgodniej z ich prawdą obiektywną — ukazuje je nam najpełniej, pozostawia najmniejszy niedosyt, największe zaspokojenie, radość, poczucie ładu, harmonii między tym, co jest i tym, co zostało powiedziane. Oczywiście, tę zależność należy rozumieć jak najwzschodniej, jak najbardziej dialektycznie. Często np. pisarz wzrusza nowym, chociaż to nowe, to nazwane przez niego dlatego tylko jest ważne, że wywołuje przeczenie innych perspektyw, innych ujęć, a więc potwierdza w nas, uświadamia nam zasadę zmienności, wielorakości, postępu, rozwoju.

Zawsze jednak dzieje się to za pośrednictwem słowa, zawsze uwarunkowane jest skalą wrażliwości, dokładności, plastyczności, asocjacyjności języka. Język skrywa tajemnicę każdego pisarza. Gdziekolwiek ona się nie poczyna, tu musi zdawać egzamin ze swej przekazywalności, tu tkwi główny probierz jej obiektywnej siły, tu zyskuje ona

swój społeczny, sens. Tu też należy ją podpatrywać.

Oczywiście, jedno przedtem trzeba uczynić zastrzeżenie. Nie wolno sprawy języka traktować powierzchownie. Związując zagadnienia do literatury: nie można sprawy języka traktować w sposób nieuwzględniający wszystkich powiązań natury psychologicznej i socjologicznej.

Język jest narzędziem stawania się świadomości, ale jest także ograniczaniem świadomości. Narzędziem stawania się — dzięki zdolności nazywania, wyodrębniania, spokrewniania rzeczy. Narzędziem ograniczania świadomości — wskutek skończonego zasobu nazwań, wskutek każdorazowego uwarunkowania procesu powstawania lub przekazywania nazwy. To od strony psychologicznej.

A od strony socjologicznej: język wolniej się zmienia niż rzeczywistość społeczna. Ogranicza to funkcję nazwań lub ją uwieloznacznia, co na jedno wychodzi. Zwłaszcza pisarzy interesować to musi, ze względu na ich integralny związek ze sprawnością języka.

Pisarz, który zdradzi swój język — zdradzi siebie, będzie mówił tak, że jego nazwania zjawisk nie będą oddawały nawet ogólnej prawdy. Dlatego, gdy badamy język pisarza, badamy jego samego, jego umysł, serce, wolę.

V

O JĘZYKU Wojciecha Żukrowskiego mówi się, że jest to język plastyczny, jedyny, mięsisty, mocny, namiętny. Metaforyczność tych określeń ogranicza ich funkcję poznawczą. Co to znaczy plastyczny? To znaczy chyba: zdolny do wywoływania skojarzeń wizyjnych, do budzenia wyobraźni ku doznaniom wzrokowym. Jest to określenie zjawiska przez skutek. A chodzi o przy czynę. Określenie takie, jak „jedyny”, „mięsisty” czy pozostałe oparte są na tej samej, tylko bardziej metaforycznie nazwanej metodzie zastępowania wyjaśnień przyczyny — opisem skutku. Jednak wspólną cechą pozytywną wszystkich nazwań tego typu jest ich właściwy kierunek asocjacyjny: wskazują duże zaangażowanie zmysłów w procesy językowe autora „Dni kłęski”. Tak jest rzeczywistość.

Język Wojciecha Żukrowskiego to język zmysłowej wierności wobec opisywanego świata. Wojciech Żukrowski oddaje prawdę rzeczy przede wszystkim przez jej sensualistyczne odbicie w doborze maksymalnie dokładnych nazwań. Sensualistyczne „świadectwo tożsamości” wpisane w język artystyczny utworu pozwala każdemu zjawisku, postaci, sytuacji, odnaleźć samą siebie. Stąd — wyrazistość napięć, siła rozstrzygnięć, istotność konfliktów. Żyją. Są. W sferze języka tworzy im bowiem pisarz materialną, konkretną rzeczywistość.

Zdobądźmy się na cierpliwość, pochylmy się nad mikroskopem. Oto żywa komórka zdania. Spójrzmy na krążące w niej soki sensualistycznego ekstraktu prawdy o opisywanym świecie. Przejrzyjmy sumienie notatki czujnego asystenta.

Wojciech Żukrowski nie odmówi nigdy swojemu słowu skrótego zapisu doznań wzrokowych, powierzy mu każdy blask, półcień, migot, drgnienie światła, musnięcie mroku, wszystko, co oko zapisało z prawdy rzeczy. Musi zauważyć światło „mżące” (już na 3 str.), kitle „poplamione krwią” (str. 9), powietrze, które „drgało leciutko” (str. 13), „na rękawicach ciemne plamy z końskiej piany” (str. 15), na łysinie „grube krople potu” (str. 17), kurzu „złotą smugę” (str. 23), „cień w dole

(Dokończenie na str. 10 — 11)

Harry SYLVESTER

Chwalcie Go wszystkie gwiazdy i światło

KSIĄDZ Duncan był w parafii od niedawna: dla niego ta Wigilia Bożego Narodzenia, jego pierwsza Wigilia na plebanii św. Malachiasza, miała większy niż zwykle ładunek znaczenia. Nie mógł na powiedzieć, że polubił tę parafię przez te trzy, czy cztery miesiące, w ciągu których jej służył. Ale ostatecznie, mówił sobie często, polubić od razu jakąś parafię byłoby czymś niezwykłym i może winna była po jego stronie: albo przy stosowywał się zbyt wolno, albo

ca księdza Duncana, ale nigdy nie posuwał się tak daleko, żeby się zastanawiać dlaczego.

Jego nieudolność w tej parafii wynikała w pewnej mierze z braku wyraźnego kierunku działalności. Śpiewanie kolęd było tu już ustalonym zwyczajem i kierowała nim w sposób bezapelacyjny organistka, pani Gorevin. Chociaż chór zwykle śpiewał takie okropności, jak „Dobranoc, Słodki Jezu” i „Tyłko zasłona między Tobą a mną” — trudno było zrobić błąd przy

jednak nie pociągało. Był tam nierozcięty tom listów św. Franciszka Salezego, ale gospodyni wyrzuciła go przed tygodniem, bo „nikt na to nawet nie spojrział, proszę księdza”. Ksiądz Duncan pomyślał sobie, że w dodatku miała rację. Sam zaledwie rzucił na to okiem. Zastanawiał się jednak dlaczego i inne książki nie zostały wyrzucone. Instynkt tej kobiety mógł być nieomylny, tak jak instynkt większości katolików: Książka św. Franciszka była jedyną rzeczą na plebanii wartą przeczytania.

*

GDY rozległ się dzwonek u drzwi, poczuł wdzięczność, więcej z powodu przerwania tych myśli, niż z powodu nadziei na towarzystwo. Rzucił okiem na zegar — dochodziła jedenasta — żeby się zorientować, czy pora mogła wyjaśnić ewentualny charakter wizyty. Było za późno na kogoś szukającego rady, a za wcześnie na gościa zachodzącego przed Pasterką.

Trzech roześmianych młodych ludzi stało na drewnianym ganku, kiedy ksiądz Duncan otworzył drzwi, świeże zimne powietrze, które wionęło spoza nich, wydawało się z nim w jakiś sposób związane.

Wejście, wejście — powiedział ksiądz Duncan.

Cieszył się z ich przybycia, cieszył się z przyjściem każdego, kto by przerwał tok jego myśli. Dwóch z nich znał dosyć dobrze, Artura McIntire, młodego agenta ubezpieczeniowego i Kevina Foley, studenta prawa. Trzeciego, ocalałego typu o twarzy dziecka, wysuwającego brodę naprzód więcej niż to leżało w zamierzeniach natury, przypominał sobie niewyraźnie, ale nie pamiętał jego nazwiska, choć musiał mieć na imię Jackie.

Robili wrażenie wesołych, chociaż ksiądz Duncan nie czuł zapachu alkoholu Pijani na Pasterce był czymś równie nieuniknionym jak kaszły podczas kazania; proboszcz mówił, że co roku gromił ich, ale to nie miało wpływu na ich łezkę, która ani się nie powiększała, ani nie zmniejszała. Ksiądz Duncan ucieszył się, że ci trzej wyglądają tak wesoło, choć nie pili. Wprowadził ich do salonu i poprosił, żeby usiedli. Przy jaśniejszym świetle zauważył, że Artur miał na policzku zdartą skórę.

— No — powiedział, kiedy się upewnił, że mają zamiar po prostu się rozsiąść i uśmiechać z zadowolenia. — No, nie wyglądacie jak byście mieli jakieś trudności czy problemy. Cieszę się, żeście wpadli.

— Nie mamy absolutnie żadnych problemów — powiedział Jackie. — Jednym moim marzeniem jest, żeby padał śnieg. Jedziemy właśnie do mojej rodziny. Spodziewamy się, że będziemy na miejscu rano; chciałbym trochę pojeździć na nartach.

— Ale musielibyście jechać w zameł, żebyście mogli tam jeździć na nartach — powiedział ksiądz Duncan.

— Och, nam to nie przeszkadza — odpowiedział Kevin. — Jesteś mi zaprawieni.

To musiało być drobną aluzją do jakiegoś tajemniczego żartu, bo wszyscy trzej uśmiechnęli się i prawie zaczęli się śmiać.

— To znaczy, że wyjeżdżacie zaraz po Pasterce? — zapytał ksiądz Duncan.

— Nie, mamy zamiar wyruszyć wkrótce — powiedział Jackie — jechać całą noc i pójść na Mszę rano w naszym mieście.

— I zastanawialiśmy się — powiedział Artur — czy ksiądz nie mógłby nam udzielić Komunii św.

zaraz albo niedługo, żebyśmy nie musieli jechać całą noc bez jedzenia.

— O, myślę, że to by się dało zrobić — odpowiedział ksiądz Duncan. — Mogłbym wam udzielić Komunii św. przed samą Pasterką. Mamy tu małą różnicę w stosunku do czasu słonecznego, więc to by było w porządku. Minęła już pewno godzina od czasu, jakiegoś jedli, albo minie przed Pasterką.

Kevin Foley skinął głową pojętnie; znał się na takich sprawach. — Nawet nie piliśmy nic. Z największym trudem upilnowaliśmy tu obecnego Jackie, żeby nie wstał do baru, ale udało nam się. — Wszyscy, nie wyłączając księdza, roześmieli się z tego. Ksiądz Duncan doszedł do wniosku, że chłopcy z całą pewnością muszą być czymś podnieceni, prawdopodobnie perspektywą jazdy. Zawahał się i poczuł się winny, ale zapytał: — Zaden z was nie chce się wypowiedzieć?

— Nie, proszę księdza — odrzekł Kevin, twarz jego była poważna. — Wszyscy byliśmy w zeszłą sobotę.

Ksiądz Duncan kiwnął głową. Męczyło go coś nienazwanego, prawdopodobnie jakaś pozostałość jego nastroju sprzed przyjścia gości. Spojrzył na zegarek. — Będziecie musieli poczekać ze dwadzieścia minut — powiedział.

Artur przytaknął pobożnie. Zadrapanie na policzku nabrało żywszego koloru. — Musiał sobie to zrobić niedawno — pomyślał ksiądz Duncan. — Czy mieliście wypadek jadąc tutaj? — usłyszał własny głos. Nie miał zamiaru zacząć tego pytania.

To ich znowu rozbawiło; ich śmiech był podobniejszy do chichotu i jeszcze bardziej zaniepokoił księdza.

— Nie my — powiedział Kevin. — Nie my, proszę księdza. My mamy obrazek św. Krzysztofa w samochodzie.

Ksiądz Duncan, który stracił dwie osoby z rodziny parę lat temu, zabite w samochodzie z takim samym obrazkiem przymocowanym do błotnika, nie powiedział. Jakies uczucie, często do-

Kevin uznał to za bardzo śmieszne. Zaden z nich jednak nie wydawał się skłonny do dalszej rozmowy na ten temat; woleli śledzić śmiejąc się, uśmiechając albo chichocząc, czy bawiąc się swoją tajemnicą.

— Co to było takiego? — zapytał ksiądz Duncan.

— Ty powiedz księdzu, Kevin — powiedział Artur.

— Ale to naprawdę odparł Kevin. Odrzucił głowę w tył i śmiał się długo, ukazując zaciśnięte zęby.

— Ty powiedz księdzu. Ja się jękam — powiedział Jackie. — I tak zresztą jesteś naszym radcą prawnym.

*

ŚMIEJĄC się jeszcze Kevin powiedział: — Jechaliśmy tutaj i mieliśmy się zatrzymać i odwiedzić nasze znajome. Ale Artur powiedział, że Wigilia to nie jest dzień na odwiedzanie dziewcząt. Więc jechaliśmy tutaj. Jechaliśmy przez Magnolia Avenue i dojeżdżaliśmy do sygnali świetlnych na skrzyżowaniu Low Road, kiedy ten Żydziak w Packardzie wyjechał z bocznej ulicy i wpakował się przed nas. Wiedział, że nas odepnie, bo dodał gazu i odbił się od nas. Ale zanim dojechał do skrzyżowania, zapaliło się czerwone światło i musiał stanąć. Nikogo nie było oprócz nas, więc kiedy zrównaliśmy się z nim, Artur powiedział „Co pan sobie myśli, żeby tak jechać?”, a ten facet zapytał się, co to ma znaczyć. Wtedy przy świetle zobaczyliśmy, że to Żyd, więc Jackie wychylił się przez okno i powiedział: „Słuchaj, przyjacielu, nie pozwólmy sobie ubliżać jakiemuś Żydzakowi”. Na to Żyd wychodził z samochodu i coś mówił. Nie wiem, co on powiedział. Ale Jackie i Artur wysiedli i poszli za nim. Uderzył Artura tylko raz — przypuszczam, że oni się nie spodziewali, że będzie się bić — a wtedy Jackie dał mu w szczękę i Żydzak upadł. Leżąc zaczął nas kopać, ale my na niego i też go kopaliśmy. Słowo daje, kopaliśmy go całą drogę od środka jezdni do samego brzegu chodnika, zupełnie jak piłkę footballową. A trzeba było słyszeć jak się dął.

— Słowo honoru — powiedział Artur, ksiądz Duncan nie przypominał sobie, żeby kiej mówił tak wysokim głosem — Słowo honoru, zaczął płakać zupełnie jak małe dziecko.

— Ale już nie płakał, kiedy przykopaliśmy go do brzegu chodnika — powiedział Jackie — zgasł jak lampka.

— Więc cofnęliśmy jego samochód i postawiliśmy przy chodniku — powiedział Artur — podnieśliśmy go i wsadziliśmy do środka. Złożę się, że się Żydzisko zdziwił, jak się obudzi.

— Przepraszam — powiedział ksiądz Duncan wstając. Zrobiło mu się niedobrze — Pójdę na chwilę do kościoła zobaczyć, jak tam sobie dają radę z kwiatami.

— Pójdziemy z księdzem — powiedział Artur. — Nie będziemy już musieli długo czekać na Komunię, proszę księdza?

— Ja idę przez zakrystię — powiedział ksiądz Duncan. — Wy możecie wejść przez jedno z bocznych drzwi.

— Ja w każdym razie chcę zobaczyć kwiaty na ołtarzu z bliska — powiedział Kevin. — Moja matka tam jest. To taka tradycja w naszej rodzinie. Zawsze pomagaliśmy przy kwiatkach w Boże Narodzenie, odkąd zbudowano kościół.

(Dokończenie na str. 8.)



niechętnie przyjmował krzyż, gdy mu był ofiarowany.

Wierzył, że każda parafia najbardziej daje się poznać w okresie Bożego Narodzenia. Ta myśl była romantyczna i nawet on sam ją za taką uważał, ale trzymała się uporczywie; na dowód mógł przytoczyć zmianę, jaka zaszła w wiernych jego poprzedniej parafii. Robotnicy tekstylni z początku zrobili na nim wrażenie posępnych i skąpych, nie tyle w sprawach pieniężnych, ile pod względem uczuć i czasu poświęcanego parafii. Ale w to pierwsze Boże Narodzenie ich reakcja była pod każdym względem wielkość: do dekoracji kościoła zgłosiło się więcej kobiet, niż było potrzeba, ofiary na biednych wpływały prawie bez proszenia o nie i ksiądz Duncan nie miał trudności z zorganizowaniem chóru śpiewającego kolędy; ta ostatnia akcja została delikatnie wyszydzona przez prałata — tamtejszego proboszcza. Ich zainteresowanie życiem parafialnym jakby się rozkręciło od tego czasu: nigdy potem nie zauważył już tego sknerstwa z okresu pierwszego roku.

W parafii św. Malachiasza, trzeba przyznać, niezręcznie sobie poczynał, może na skutek tego, że był źle widziany u góry. Każdy z jego konfratrów rozumiał — może nawet on sam był ostatnim, który się o tym dowiedział — że stał tu przeniesiony, ponieważ prałat głosił wszem i wobec, że nie chce mieć żadnych „radykałów” u siebie na plebanii.

Radykalizm księdza Duncana polegał na pronomerowaniu czasopisma liturgicznego, na wyżej wymienionym śpiewaniu kolęd i na przekonaniu, dosyć nieśmiało głoszonym, że władzom miejscowego związku zawodowego inne w rzeczywistości cele niż dobro tkaczy leżą na sercu. Został więc przeniesiony do jedynej parafii w diecezji, określanej jako „bogata”. Parafia św. Malachiasza była mniejsza niż jego poprzednia parafia, obejmowała mroczną dzielnicę, ani miasto, ani przedmieście, była krainą dzieci na rowerach, przyzwolonych trawników i kilkupokojowych willi w ogródkach. Dzieci było tu proporcjonalnie mniej, miały one bardziej dziecinne twarze i zabawy ich były mniej dzięk; zjawiska te niepokoiły w głębi ser-

wyborze kolęd i ksiądz Duncan sam nie wiedział, co by mógł zaproponować. Place zabaw i świetlica nie były tu potrzebne. Więc ksiądz Duncanowi pozostawały tylko zwykłe, zasadnicze zajęcia — odprawianie Mszy, słuchanie spowiedzi i chodzenie do chorych.

Bez większego przekonania zauważył, że grawituje w kierunku pozycji powiernika i generalnego doradcy młodzieży parafialnej. Dostateczna jej ilość w wieku około lat dwudziestu gromadziła się w ogonku przed jego konfesjonalem, aby skłonić proboszcza do zrobienia kilkakrotnych uwag na ten temat przy niedzielnym śniadaniu. Ksiądz Duncan nie widział żadnej specjalnej przyczyny, dla której się to działo, chyba że tą przyczyną był jego smutek i strach wobec niektórych ich przewinień fizycznej natury, które sprawiali, że często nie mogli zrobić nic innego, niż dać im rozgrzeszenie po chwili milczenia. Ale nawet poza konfesjonalem często przychodzili do niego.

Właśnie poprzedniej niedziel proboszcz zauważył, że ksiądz Duncan ma opinię „wyrozumiałego” w konfesjonale. Proboszcz powiedział to dosyć łagodnie — jak na siebie — i księdzu Duncanowi przyszła do głowy niechrześcijańska myśl, że gdyby ze spowiedzią wiązała się sprawa opłaty, proboszcz mógłby nie ustosunkować się do tego tak łagodnie.

W ten wigilijny wieczór Bożego Narodzenia ksiądz Duncan drezczył niczym nie uzasadniony niepokój. Miał wprawdzie poczucie zadowolenia, poczucie, że świat jest dobry, którym zawsze napawała go bliskość dnia Narodzenia Pańskiego, ale jak gdyby teraz, wydawało mu się, nie istniało nic, ku czemu mógłby skierować czy przekazać swoją dobrą wolę. Z jakiejś przyczyny wszystkie światła w całym domu były zapalone. Pusta plebania — proboszcz poszedł odwiedzić swoją matkę mieszkającą w pobliżu, gospodyni pomagała w kościele przy kwiatkach — była jasna, błyszcząca i nieuświęcona. Ksiądz Duncan zdawał sobie sprawę z niedorzeczności tej myśli implikującej, że plebania powinna być uświęcona.

Przeszukał w bibliotece półki z książkami „dewocyjnymi”, nic go

Tadeusz STRUMIŁŁO

WSPOMNIENIE O PROFESORZE

Adolf Chybiński 1870 – 1952

W dniu 31 października ubiegłego roku zakończył życie śp. dr Adolf Chybiński, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, twórca współczesnej muzykologii polskiej, dekorowany wielokrotnie w dowód uznania dla jego wielkich zasług najwyższymi odznaczeniami państwowymi i naukowymi. Zmarł w wieku którego pasją całego życia było odtworzenie dziejów muzyki polskiej, wykształcenie polskiej szkoły muzykologicznej oraz intensywne oddziaływanie na współczesne życie muzyczne. Warto i należy przypomnieć tę jego działalność.

W Polsce zainteresowania historią czarno-muzyczne obudziły się w XIX w. Już w 1820 r. K. Kurpiński publikuje artykuł „Historia opery aż do opery polskiej” a w osiem lat później Adam Czartoryski wydaje swój „Słowniczek wyrazów znaczących narzędzia muzyczne...” zawierający szereg danych historycznych. W 1837 r. Cichocki i Sandmann wydała w Warszawie psalmy Gomółki (wiek XVI) i kilka utworów Górczyckiego (wiek XVIII) — w kilkadziesiąt lat później ks. Surzyński publikuje „Monumenta musicae Sacrae in Polonia” zawierające wybór szeregu cennych polskich kompozycji z wieku XVI do XVIII. W roku 1859 M. Karasowski wydaje obszerny „Rys historyczny opery polskiej”, nie mówiąc już o szybko rozwijającej się literaturze szopenowskiej. Najważniejszą działalność historyczną prowadzą dwaj zbieracze — Józef Sikorski znakomity krytyk i publicysta muzyczny oraz nieco później Al. Poliński, ogłaszający w r. 1909 „Dzieje muzyki polskiej”.

Jak widać muzykologia polska ma pewne tradycje, lecz jakże skromne zwłaszcza wobec nadzwyczaj intensywnego rozwoju tej dyscypliny w całej Europie, a przede wszystkim w Niemczech. Trzeba przy tym pamiętać, że nasi muzykografowie nie mieli fachowego wykształcenia muzykologicznego a wiadości czyste muzyczne nie wystarczyły nieraz do właściwego opracowania i należytej oceny odnajdowanych przez nich utworów. Wiele było fałszywych poglądów, krzyżujących o sprostowanie, błędnych transkrypcji dawnych kompozycji czy zwłaszcza wadliwych ujęć historycznych, — a przede wszystkim w ciągłości rozwoju muzyki polskiej były ogromne luki, wyrwy, „białe plamy”.

Taki stan zastał dwudziestoletni Adolf Chybiński, gdy jako doktor muzykologii powrócił w 1908

r. do rodzinnej Małopolski. Jeszcze rok temu opowiadał mi o tym ta Profesor umiał i miał co opowiedzieć: „toż tu była pustynia — nie było do kogo ust otworzyć”. Nie było w tym przesady. Z kim w ówczesnej Polsce mógł dyskutować czy choćby porozmawiać młody zapalony muzykolog na temat specjalnych zagadnień muzyki Średnio-wieczna czy Renesansu, które nurtowały go z całą siłą i rozniecały jego zapał wyniesiony ze świetnych seminariów Sandbergera i Kroyera? Być może dzięki temu łatwiej mu było zagrzebać się w archiwach starego Krakowa i najrozmaitszych klasztorów, gdzie odnajdywał dzięki swym nadzwyczaj skrupulatnym badaniom nieznanne utwory, nawet nowych kompozytorów polskich oraz bogate źródła do historii naszej kultury muzycznej.

Czekały go tam prócz najwspanialszych odkryć najrozmaitsze przygody o jakich nam potem opowiadał — tak np. gdy w archiwum wawelskim wziął w ręce wielki, w skórę oprawny i pokryty centymetrową warstwą gęstego kurzu tom — w rękach została Mu tylko oprawa, a ze środka wypadł niezwyklej wielkości... biały robak! Zdarzenie to symboli zuje najlepiej sytuację, w jakiej rozpoczynała swój start muzykologia polska. Trzeba było odgrzebać (dosłownie spod grubej warstwy pyłu, już nietylko symbolicznego zapomnienia, cały szereg nieznanych kompozycji, przepisać je z dawnej notacji nutowej do dzisiejszej, z poszczególnych głosów zestawić obraz całości — partyturę. Kto tego nigdy nie robił nie wie ile wymaga to pracy, czasu i poświęcenia. Z nadzwyczajnym mozołem i wytrwałością wypełniał Profesor swym drobnym a jakże ważnym piśmem nutowym całe stosy arkuszy papieru. Umożliwiła Mu to tylko jego ogromna wewnętrzna pasja badawcza, niestęgnąca do ostatnich chwil życia.

A rezultat? Nie trzeba chyba o to pytać — ponad 450 publikacji da

je wystarczające świadectwo już samą swoją ilością. Drobiazgowo rewizja dawnych poglądów, krytyczna ocena i opracowywanie odnajdowanych przez siebie materiałów a czasem publikowanie ich nawet w stanie surowym, byle tylko zapewnić rozwój muzykologii polskiej, — oto charakterystyka tych publikacji. Nie wszyscy zapewne zdają sobie sprawę z tego, ile cennych danych polskich kompozycji ocalało wśród zniszczeń obu wojen tylko dzięki kopiom Profesora. Zdawał on sobie z tego dobrze sprawę i dla tego starał się ogłaszać drukiem jak najwięcej odnalezionych utworów, i to w formie nie tylko ściśle naukowej, lecz też dostosowanej do



dzisiejszych wymagań wykonawczych.

Wracając myślą do swych studenckich, monachijskich czasów Profesor zawsze podkreślał wielką różnicę, jaka zachodziła pomiędzy ówczesnym polskim a monachijskim życiem muzycznym. Monachium miało 4 stałe orkiestry symfoniczne, na koncertach nieraz dopiero policja musiała uspokajać różne „dyskutujące” obozy, życie muzyczne kwitło bujnie i stanowiło arcyważny czynnik w rozkładzie dnia każdego monachijszycy. W Polsce była natomiast tylko jedna (warszawska) filharmonia, dopuszczająca w swych programach tylko „kawsowe” dzieła zagraniczne — wszędzie władna klika pseudofachowych

krytyków brutalnie i bezwzględnie zwalczała wszelkie postępowe dążenia młodych kompozytorów. W tej sytuacji Chybiński nie okazał się oderwanym od życia teoretykiem. Kontrast pomiędzy stosunkami monachijskimi a polskimi stał się dla niego podniętą do żywej i nieraz ostrej w formie działalności publicystycznej. Na tym terenie nie był osamotniony — więzy przyjaźni łączyły go przede wszystkim z M. Karłowiczem a także z członkami „Młodej Polski w muzyce” — Szymanowskim, Różyckim, Fitebergiem. Ich wspólna walka o uzdrowienie stosunków panujących w Filharmonii warszawskiej, o właściwy stosunek do polskiej twórczości to jedna z najpiękniejszych kart naszej publicystyki muzycznej.

PAMIĘTAM jak dziś, gdy w pierwszych latach moich studiów pełen łęku przed nim, „półbogiem w chmurze”, europejską sławą, skromny student zdawał mi się, któryś z poważniejszych egzaminów. Gdy ten ostatni jakoś „poszedł” podsunąłem Profesorowi, stojąc w postawie pełnej uszanowania, indeks do podpisu i wtedy ku swemu zdumieniu usłyszałem od tego wiecznie przepracowanego naukowca serdeczne zaproszenie, abym pozostał jeszcze chwilę i opowiedział Mu, co robiłem w Tatrach ostatniego lata.

Rozmowa przeciągnęła się dobrą godziną, w trakcie jej „odkryłem” u Profesora jeszcze jedną pasję — ukochanie Tatr. Sam chodził po nich w młodości bardzo dużo (wszak przyjaciel jego, M. Karłowicz był również świetnym taternikiem), znał Tatry doskonale. Interesował się do ostatnich chwil wszystkimi szczegółami naszego ruchu wysokogórskiego. Ileż to razy później opowiadał mi o Tatrach, żądając ode mnie analogicznych „sprawozdań” z każdego mego wyjazdu tatrzańskie. Zresztą te jego zainteresowania przybierały zawsze konkretne formy — był jednym z współtwórców Muzeum Tatrzańkiego i stałym jego współpracownikiem, zasilałym nawet w krytycznych momentach skromne fundusze muzealne z własnych zarobków, był pierwszym redaktorem „Wierchow” i długoletnim działaczem Pol. Tow. Tatrzańkiego. Najcenniejsze jednak są w tym zakresie jego prace związane z muzyką Podhala.

Prof. Chybiński był nie tylko muzykologiem — był on też rzetelnym etnografem muzycznym. Prac swoich nie prowadził w komfortowych warunkach dzisiejszych udogodnień technicznych — materiały zbierał podczas swych rokrocznie spędzanych w Tatrach, wakacji wypełnionych pracą. Wedrował po wsiach, mieszkał po szałasach i baciówkach na halach tatrzańskich w często najprymitywniejszych warunkach, lecz dzięki temu badał muzykę Podhala nie w oderwaniu od życia a w najściślejszym związku z wszystkimi jego przejawami. Nie był snobem z Kasprowego czy Gubałówki — kochał Tatry a nie udogodnienia pseudocivilizacji, kochał surową, górską przyrodę i ryzyko sportu wysokogórskiego, piękno widoków tatrzańskich i ciężki znój

pracy ludu podhalańskiego wraz z jego niespożytą fantazją. Nie wszyscy dziś wiedzą, że to właśnie Chybiński zainteresował twórcę Harnasiów Podhalem — po prostu popchnął go na drogę, po której do dziś kroczą kompozytorzy polscy. Profesor swym ogromnym ukochaniem gór zaafascynował po prostu Szymanowskiego i dzięki temu wyrwał muzykę polską z kryzysu, jaki wówczas przeżywała, skierowując ją ku wyższym źródłom folkloru muzycznego. Bez tego nie mielibyśmy dziś ani Mazurków, ani Harnasiów ani czwartej symfonii...

Prócz stworzenia obrazu rozwojowego naszych narodowych tradycji muzycznych, prócz skierowania współczesnej muzyki polskiej na nowe tory, niemniej ważnym terenem działalności Profesora była praca pedagogiczna. Habilitowany w 1911 od 1917 roku obejmuje katedrę muzykologii na Uniw. Jana Kazimierza we Lwowie. Początkowo sam jeden, nie mając żadnych pomocniczych sił naukowych, prowadził wszystkie, tak rozliczne i męczące, zajęcia pedagogiczne nie rezygnując ani na chwilę z wysokiego poziomu naukowego. Nic więc dziwnego, że już pierwsza dysertacja, jaka wyszła z jego zakładu, została natychmiast opublikowana przez zagraniczne periodyki muzykologiczne w tłumaczeniu niemieckim. Z czasem mnoży się uczniowie, stanowiący sztab najbliższych współpracowników — dr Maria Szczepańska, ks. dr H. Feicht, śp. dr J. Duniec i wielu innych, stanowiących dziś tron jakościowy i ilościowy współczesnej muzykologii polskiej... Profesor potrafił nie tylko uczyć — porywał wszystkich za sobą, umiejętnie rozbudzał zainteresowania historią muzyki polskiej — Jego zapał udzielał się jego uczniom — i w ten sposób stworzył polską szkołę muzykologiczną. Gdy w 1945 r. Uniwersytet Poznański zaprasza go do objęcia poznańskiej katedry muzykologicznej — mimo swego wieku od razu podejmuje trud tworzenia zakładu „z niczego”. Profesor promował 35 magistrów wykształconych przez niego w Poznaniu, a więc dwa razy tyle co w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Było to możliwe tylko dzięki wyjątkowemu stosunkowi Profesora do swych uczniów. Ileż to razy udostępniał nam swe własne zbiory, pozwalał korzystać ze swych prywatnych notatek — rzecz wprost niezwykła przy tak częstym u naukowców zawiści i rywalizacji. Profesorowi chodziło jednak przede wszystkim o rozwój polskiej muzykologii; nieubiegany dla nieuctwa i lenistwa pomagał tym, którzy chcieli pracować naukowo — nawet do zwykłych magisterskich prac sprowadzał przez swe znajomości z zagranicy niedostępną w kraju literaturę fachową. Trudno jest zapomnieć tę serdeczną troskliwość, z jaką interesował się pracami nie tylko studentów, lecz także już swych ukończonych uczniów. Jeszcze w szpitalu, podczas przewlekłej choroby, mimo ogromnych cierpień do końca życia kierował pracami Zakładu, dopytywał się o wszystko, udzielał chętnie swych jakże nieraz bezcennych rad. Cieszył się każdym przejawem naukowych zainteresowań i inicjatywy studentów, radował się z przebiegu i wyników badań kontynuowanych przez jego uczniów, do ostatniej chwili był duszą naszego ośrodka muzykologicznego. I dlatego nie tylko jego wielki dorobek naukowy i pedagogiczny — lecz także pamięć o Nim jako o człowieku pozostaje dla nas drogowskazem.

Tadeusz Strumiłło

Chwalcie Go wszystkie gwiazdy

(Dokończenie ze str. 7)

KSIĄDZ Duncan kiwnął głową, wargi miał lekko zwarte. Wyszedł pierwszy przez drzwi, skreślił zaraz w lewo i poszedł wąskim wybetonowanym chodnikiem, prowadzącym do kościoła od tyłu. Usłyszał chrzęst ich kroków na ścieżce i w tej chwili pierwszy raz poczuł miękko padające płatki śniegu.

Za kościołem było ciemno. W ciemności ksiądz Duncan zymiotował i właśnie w trakcie tego proboszcz wrócił od matki.

— Czy to ksiądz? — zapytał, a ksiądz Duncan podniósł sporną twarz i wyjaśnił, że tak, to on.

— Niedobrze mi się zrobiło — powiedział. — Mam nadzieję, że mi to przejdzie i będę mógł asystować dziś wieczorem jako diakon.

Proboszcz przyglądał mu się w niespokojnej ciemności. — Mam nadzieję, że ksiądz nie będzie jedynym z tych wikarych, dla których

post oznacza rewolucję żołądkową? — powiedział nie bez zyczliwości. — Nie wiem — odparł ksiądz Duncan. Oparł jedną ręką na kamiennym murze i poczuł się pewnie. Zimne powietrze dobrze mu robiło. — Może moglibyśmy zatelefonować do seminarium i poprosić, żeby razem z subdiakonem przysłał też diakona.

— Za późno już na to — odpowiedział proboszcz. — Jeśli ksiądz nie będzie mógł asystować, no to trudno. Odprawię po prostu cichą Mszę i subdiakon będzie asystował. To mu dobrze zrobi.

— Jeśli mi przejdzie do dwunastej, to będę asystował — powiedział ksiądz Duncan. Wiedział, że nie będzie mógł asystować jako diakon; nie mógłby w ogóle asystować.

— Jak ksiądz uważa — powiedział proboszcz i wszedł na pleba-

nię. — Tylko niech ksiądz nie sędzi na dworze spocony, bo się ksiądz ciężko zaziębi.

Wchodząc do ciepłej zakrytych zastanawiał się, co by pomyślał parafianie, gdyby zobaczyli księdza Duncana. Biorąc pod uwagę, że to Wigilia i w ogóle, mogliby pomyśleć, że się upił, chociaż on sam nie czuł alkoholu w jego oddechu. Ale przyszedł tu z nieszczególną opinią, a nigdy nie wiadomo, co tacy ludzie mogą zrobić. Zaczął ubierać się do Mszy.

Ksiądz Duncan nie poszedł na plebanę. Zaczął iść wśród padającego śniegu, czując na twarzy jego maleńkie, zimne cząsteczki. Tak śnieg — padający miękko w spokojną noc — przypominał mu kiedyś Łaskę wzruszającą, oświecającą, dodającą męstwa, chłodne muśnięcie skrzydeł. Teraz nie przypominał mu nic prócz śniegu, a ksiądz Duncan wdzięczny był nawet i za to.

Harry Sylbester

Szymon DEREŃ

D E K A B R Y Ś C I

DAWNA historiografia polska, w swej przeważającej większości, zajmowała stanowisko skrajnie antyrosyjskie. Pomijając problem uzasadnionej wrogości wobec carskiego zaborcy, było to logiczną konsekwencją gloryfikowania ekspansji Rzeczypospolitej szlacheckiej na Wschód, która prowadziła siłą rzeczy do stałych konfliktów i starć.

Głoszenie „polskiej misji cywilizacyjnej” na Wschodzie, służyło do usprawiedliwienia egoistycznej polityki spolszczonego kresowego ziemiaństwa. Bardziej perfidnie było identyfikowanie wynaradawiających szowinistycznych rządów carskich z postawą całego narodu rosyjskiego.

W ten sposób historycy tworzyli sztuczną przepaść między narodem polskim i rosyjskim. Najtypowszym przedstawicielem tego kierunku był prof. Szymon Askenazy, który w swych dziełach, pisanych z wielką swadą literacką i z błyskotliwą erudycją, stawiał wprost tezę, że każde w dziejach Polski zbliżenie do Rosji było dla interesów naszego kraju i narodu zabójcze, podczas gdy rację mieli tylko ci, którzy szukali oparcia na Zachodzie, chociażby w junkierskich Prusach, przeciwko naszemu sąsiadowi wschodniemu.

W dwudziestolecie międzywojennym tendencje te wzmogły się jeszcze, stanowiąc ideowe uzasadnienie polityki sanacji. Motyw społecznej nienawiści do ustroju radzieckiego i obawy jego oddziaływania na nasze społeczeństwo aktywizowały wysiłki historyków budowania muru wrogości między Polakami a Rosjanami. Klasycznie jaskrawym przejawem tych starań była skrajnie tendencyjna wielotomowa książka Jana Kucharzewskiego „Od błędnego caratu do czerwonego”, usiłująca wykazać, że „bolszewizm jest produktem mongolskiej duszy rosyjskiej”.

Przy takim nastawieniu wyjściowym dawni historycy brali za temat swych opracowań wyłącznie to, co nas w dziejach dzieliło z Rosją, a więc zatargi, wojny i prześladowania rządów carskich. Liczne próby współpracy politycznej i zbliżenia do państwa, a szczególnie społeczeństwa rosyjskiego, były bagatelizowane, bądź traktowane wyłącznie pod kątem supremacji strony polskiej. Jeszcze silniej wystąpiło to w odniesieniu do okresu porozbiorowego. Oficjalna historiografia, wręcz usiłowała przemilczeć wszystkie momenty solidarności między polskim ruchem niepodległościowym a rewolucjonistami rosyjskimi, gdy zaś zmuszona była je omawiać, dążyła tendencyjnie do przedstawiania w krzywym zwierciadle przyjaznych dla Polski nastrojów postępców rosyjskich i obciążała ich jednostronnie odpowiedzialnością za niepowodzenia w ustalaniu braterskiego współdziałania.

Dopiero obecnie historycy nasi przystępują do opracowania tej leżącej odłogiem dziedziny. Cały okres dziejów przedrozbiorowych wymaga pod tym względem gruntownego przepracowania. Nowatorska, lecz raczej publicystyczna i nie wolna od błędów w metodologicznym podejściu książka Aleksandra Bocheńskiego „Dzieje głupoty w Polsce” była w tej mierze tylko sygnałem alarmowym.

Natomiast w stosunku do dziejów porozbiorowych mamy już pewne pozytywne osiągnięcia. Jest to zwłaszcza „Książki i Wiedza”, która w swej „Serii historycznej” ogłosiła dwie wartościowe prace z tej dziedziny. Po interesującej monografii J. Kowalskiego „Rewolucyjna demokracja rosyjska a Powstanie

Styczniowe”, otrzymaliśmy niedawno książkę Leona Baumgartena „Dekabryści a Polska” *).

Stosunki dekabrystów rosyjskich z tajnymi niepodległościowymi organizacjami polskimi w latach Królestwa Kongresowego były już niejednokrotnie poruszane w naszej literaturze historycznej. Poglądy na nie opierały się dotąd powszechnie na wynikach badań Askenazego w jego dwutomowej pracy „Łukasiński”. Pogląd Askenazego na tę sprawę jest charakterystyczny dla jego wyjściowego nastawienia. Traktuje on Dekabrystów jako nacjonalistów rosyjskich, którzy dążąc do zastąpienia autokratyzmu carskiego przez ustrój liberalny, nie wyzbyli

sander I. chciał w pewnej chwili użyć dla swych planów ekspansyjnych, a po ich zamknięciu grupował się w tajnych stowarzyszeniach „Związek Ocalenia” i „Związek Dobra Publicznego” tworząc wreszcie trzy główne organizacje, Stowarzyszenie Północne, Stowarzyszenie Południowe i Stowarzyszenie Zjednoczonych Słowian.

Te trzy organizacje odpowiadały z grubsza biorąc trzem podstawowym kierunkom ruchu Dekabrystów, magnacko-konserwatywnemu, ziemiańsko-liberalnemu i demokratyczno-postępowemu, chociaż zarówno w Stowarzyszeniu Północnym jak i Południowym istniały prądy rewolucyjne aktywne i pasywne,

laka Lublińskiego, głosiło konieczność oparcia się o lud w akcji rewolucyjnej oraz uważało za główny cel wyzwolenie wszystkich plemion słowiańskich od samowładztwa, wykorzystanie istniejącej nienawiści pomiędzy poszczególnymi narodami słowiańskimi i połączenie wszystkich zamieszkałych przez nie ziem w Związek Federacyjny, w którym poszczególne kraje posiadałyby organizacyjną niezależność i możliwość stanowienia własnych praw.

PRZYGOTOWUJĄC się do przewrotu zbrojnego Dekabryści, a zwłaszcza najbardziej energiczny ich przywódca Pestel, dążyli do nawiązania kontaktów z ruchem narodowo-patriotycznym w Polsce i to zarówno ze względów taktycznych, jak i zasadniczych. Chodziło im o to, aby wojsko rosyjskie, stacjonujące pod dowództwem Wielkiego Księcia Konstantego na ziemiach polskich, nie zostało użyte do tłumienia powstania w Rosji, ale chcieli również ustalić zgóry podstawy przyszłego współżycia polsko-rosyjskiego.

Pestel stał na stanowisku konieczności odbudowania państwa polskiego i chciał oprzeć przyszłe stosunki obu krajów na podstawie ścisłego sojuszu wojskowo-politycznego. By ten sojusz był trwały, domagał się, aby oba państwa miały identyczny ustrój społeczno-polityczny. W kwestii granicy polsko-rosyjskiej stał na stanowisku zasady etnograficznej, uważając, że ludność ziem litewsko-ruskich powinna sama zdecydować o swym losie. Tezy te znalazły swój wyraz w opracowanej przez niego „Prawdzie Rosyjskiej”.

Na tej podstawie Stowarzyszenie Południowe szukało porozumienia z Towarzystwem Patriotycznym w Warszawie. W tym okresie twórca Towarzystwa, Łukasiński, zdecydowany zwolennik porozumienia polsko-rosyjskiego, był już aresztowany.

W Towarzystwie Patriotycznym ścierały się również różnorodne prądy. Kierunek magnacko-szlachecki chciał bronić przed zakusami biurokracji rosyjskiej praw konstytucyjnych zagwarantowanych przez ustrój Królestwa Kongresowego i przyznając tej warstwie stanowisko panujące.

Kierunek liberalno-patriotyczny stawiał na pierwszym planie walkę o pełną niepodległość i o zjednoczenie wszystkich ziem polskich. Sprawy społeczne odsuwał na plan dalszy, ale chciał wciągnąć do ruchu niepodległościowego szerokie koła

społeczeństwa, zwłaszcza elementy mieszczańskie i rzemieślnicze.

Łukasiński ulegał silnie wpływom ideologii magnacko-szlacheckiej, ale pod koniec swej działalności przychylił się coraz bardziej do poglądów swego otoczenia znacznie bardziej postępowego. Po jego śmierci, kierownictwo Towarzystwa Patriotycznego przeszło w ręce pułkownika Krzyżanowskiego i grupy magnacko-szlacheckiej z Sołtykiem i Małachowskim na czele.

Krzyżanowski rozumiał potrzebę współpracy z ruchem rewolucyjnym w Rosji, ale pochodził ze środowiska ziemian ukraińskich, którzy zaniepokojeni byli zbyt, ich zdaniem, radykalnym stawianiem sprawy społecznej, a zwłaszcza chłopskiej przez Stowarzyszenie Południowe. Odbiło się to na nawiązanych kontaktach między Dekabrystami a Towarzystwem Patriotycznym. Krzyżanowski zajął stanowisko chwiejne, wysuwał na plan pierwszy postulat włączenia ziem litewsko-ruskich do państwa polskiego, odmawiał dyskusowania zasad przyszłego ustroju Polski do czasu odzyskania niepodległości, a na wszystkie konkretne propozycje wspólnego działania odpowiadał wykrętnie.

Misję kontynuowania rokowań ze strony polskiej powierzył przedstawicielom ziemianstwa ukraińskiego, którzy wręcz sabotowali porozumienie oraz systematycznie nie komunikowali Towarzystwu Patriotycznemu w Warszawie ponawianych propozycji i dezzyderatów Pestla. Dekabryści zaczęli podejrzewać, że Towarzystwo Patriotyczne prowadzi grę dwulicową, dążąc do odbudowy państwa polskiego pod berłem Wielkiego Księcia Konstantego, co rzeczywiście było jednym z warianłów programu obozu magnacko-szlacheckiego.

Wznawiane i znów schodzące na manowce pertraktacje między Dekabrystami, ściślej mówiąc, Stowarzyszeniem Południowym a Towarzystwem Patriotycznym, nie dały ostatecznie rezultatów. Przyspieszony śmiercią Aleksandra I, i wykryciem przez policję rosyjską tajnej organizacji Południowej wybuch powstania grudniowego w Petersburgu i na Ukrainie nie znalazł początkowo żadnego oddźwięku w Warszawie. Dopiero w grudniu 1830 r. lud warszawski uczcił uroczyste pamięć Dekabrystów wspaniałą, spontaniczną manifestacją.

Książka Baumgartena ma raczej charakter pracy popularno-naukowej. Pomimo drobnych niedociągnięć przedstawia dużą wartość. Jest to jeden z pierwszych kroków na drodze potrzebnej rewizji historycznych opracowań stosunków polsko-rosyjskich. Wyjaśnia nam ona właściwie podłoże stosunków Dekabrystów do polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego.



Puszkina między dekabrystami

się wszystkich uprzedzeń Rosjan w stosunku do Polaków i chcieli tym silniej związać Polskę z Rosją, nie licząc się z naszymi dążeniami do niepodległości.

W tym widział on źródło niedojścia do porozumienia między Dekabrystami a Towarzystwem Patriotycznym i nie zsynchronizowania obustronnych działań rewolucyjnopowstańczych. Jak wiadomo, wystąpienie Dekabrystów miało miejsce w grudniu 1825 r. (stąd nazwa Dekabryści), a powstanie polskie wybuchło pięć lat później, 29 listopada 1830 r.

Trudno mówić o błędzie popełnionym w tej ocenie przez Askenazego. Nie była to omyłka, ale zwyczaj w jego pracy badawczej wyszukiwanie argumentów dla uzasadnienia swej tezy apriorycznie postawionej. W tym celu potraktował on ruch Dekabrystów jako jedną zwartą całość, nie wdając się w analizę podłoża społecznego, które go wywołało i w rozróżnianie związanego z tym udziału w nim różnorodnych elementów. Jako kryterium stosunku Dekabrystów do sprawy polskiej Askenazy uznał wyłącznie zagadnienie t.zw. wówczas gubernii zabranych t.j. ewentualnego przyłączenia do Polski czy też do Rosji ziem etnicznie litewskich, białoruskich i ukraińskich.

DOKONANA przez Baumgartena rewizja dotychczasowych poglądów ukazuje nam stosunek Dekabrystów do Polski z uwzględnieniem różnorodnych, nurtujących wśród nich prądów.

Powstanie Dekabrystów wywodzi się z ruchu postępowego wywołanego wojną narodową przeciwko najazdowi napoleońskiemu i zetknięciem się służącej w wojsku inteligencji rosyjskiej z prądami rewolucyjnymi francuskiej podczas perypetów działań wojennych na Zachodzie. Ruch ten wykorzystał początkowo formy łóż masonskich, które Alek-

współdziałając i zwalczając się. Najbardziej radykalnym było Stowarzyszenie Zjednoczonych Słowian, które od początku połączyło drobno-szlacheckie a nawet i mieszczańskie elementy wojskowe i cywilne spośród Rosjan i Polaków.

Petersburskie Stowarzyszenie Północne kierowane było głównie przez wyższych oficerów Gwardii pochodzenia arystokratycznego, którzy dążyli do zastąpienia caratu przez monarchię konstytucyjną drogą reform pokojowych, dopuszczając w ostateczności przewrót pałacowy dokonany wyłącznie przez wojsko, bez wciągania do niego szerszych kół społeczeństwa. Chcieli oni utrzymać panującą pozycję szlachty i pańszczyznę, przewidując jedynie pewną poprawę sytuacji osobistej chłopów. Wyobrażali sobie przyszły ustrój państwowy Rosji jako związek federacyjny 15 krajów, do którego weszła by również Polska. Brak zdecydowania i woli bojowej tych przywódców spowodował niepowodzenie powstania w dniu 26 grudnia 1825 r., gdy poprowadzone przez nich oddziały Gwardii petersburskiej odmówiły przysięgi na rzecz Mikołaja I, i zgromadziły się na Placu Senackim.

Znacznie bardziej postępowe było Stowarzyszenie Południowe kierowane przez pułkownika Pestla i grupujące wyższych oficerów II armii, stacjonującej na Ukrainie. Program ich ujęty w „Prawdzie Rosyjskiej” proklamował hasła rewolucyjnej francuskiej „wolność, równość i braterstwo”, domagał się utworzenia rządu republikańskiego z powszechnym i równym prawem wyborczym, skasowania pańszczyzny i obalenia podziału na stany. Stowarzyszenie Południowe dążyło do powstania zbrojnego w oparciu o społeczeństwo, lecz główną w nim rolę przeznaczało wojsku.

Stowarzyszenie Zjednoczonych Słowian, założone przez oficerów rosyjskich pochodzenia inteligenckiego braci Borysowów i potomka zdeklasywanego rodziny drobno-szlacheckiej Po-

DEWOCIONALIA K S I A Ź K I

Łańcuszki, medaliki, rzygafy, wota, krzyżyki, obrączki ślubne, lichterzyki, pasyjki, obrazy, obrazki komunijne, kadzidło, różańce, figury gipsowe, świece liturgiczne

Teologiczne, baletystyka, młodzieżowe

WYDAWNICWA „PAX”
SPRZET KOŚCIELNY
Lichterze i krzyże ołtarzowe, naczyńia liturgiczne

poleca

„VERITAS”

Białystok, Dąbrowskiego 1
Bydgoszcz, 1-go Maja 54
Częstochowa, 7 Kamienie 27
Gdynia, Świebajńska 46
Głogów, Mickiewicza 36
Kalisz, Garbarska 2
Kraków, Sławkowska 20
Lublin, Królewska 7
Łódź, Andrzeja Struga 14
Nowy Sącz, św. Ducha 3
Pabianice, Armii Czerw. 27

Pielpin, Stalina 24
Poznań, Kamiąka 10
Siedlce, Gen. Świerczewskiego 20
Sępól, Prez. Bieruta 7/9
Świdnica, Nowotki 45
Tarnów, Krakowska 39
Toruń, Rynek Staromiejski 17
Wrocław, Katedralna 6
Warszawa, Piłok 5
Warszawa, Mokotowska 43

CENTRALA I HURTOWNIA - WARSZAWA UL. MOKOTOWSKA 43
Zamówienia wykonujemy za zaliczeniem

*) Leon Baumgarten „Dekabryści a Polska”. Biblioteka Historyczna Nr 15. Warszawa. 1952. „Książki i Wiedza” str. 248.

Karol KOZMIŃSKI

BIAŁYSTOK — MIASTO PAMIĄTEK

TURYSTĘ przybywającego do Białegostoku wita ła wstępnie widna z daleka i panująca nad okolicą wieża kościoła wystawionego na wzgórze, opasanego murem na kształt fortecy. Ta najnowsza świątynia Białegostoku — dzieło prof. inż. architekta Oskara Sosnowskiego — budowana od r. 1924 — wewnątrz nie jest jeszcze całkowicie wykończona. Patrząc na nią można się zastanawiać nad tym, czy poszukiwanie nowych form w architekturze daje zawsze szczęśliwe rezultaty. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że budowała ta o zamierzeniach monumentalnych nie harmonizuje z otoczeniem — skupiskiem niewielkich, jednopiętrowych zaledwie domków. Ten nowy kościół nie posiada wartości zabytkowej, bowiem obiekt, aby mógł być uznany za zabytkowy, godny ochrony i konserwacji, liczyć musi co najmniej pół wieku.

Dłużej zatrzymajmy się na Rynku Kościuszki, gdzie odtworzony zostanie niebawem, zgodnie z posiadaną dokumentacją, stary ratusz. Zwróci tu naszą uwagę niewielki siedemnastowieczny kościółek, jakby przyklejony do wyniosłych, czerwonych murów nowego, najwyraźniej, gotyckiego kościoła. Całość ta ma ciekawą historię.

Na miejscu starego kościółka, który tworzy jakby boczną kaplicę nowej świątyni stał ongiś skromny kościółek drewniany. W XVI w. był on przejściowo w posiadaniu kalwinów, ale w r. 1584 ówczesny właściciel Białegostoku, Piotr Wiesiołowski, marszałek wielki litewski, odbiera ten kościół kalwinom, syn zaś jego w r. 1617 wystawia kościół murowany, ten, który przetrwał do dziś. Służył on parafianom białostockim przez długie lata, gdy jednak na przełomie w. XIX i XX Białystok stał się dużym, ludnym ośrodkiem przemysłowym, stary kościółek Wiesiołowskich nie mógł już pomieścić wiernych. Na budowę nowej świątyni rząd carski nie dawał pozwolenia. Wolno było jednak... „przebudować“ kościół istniejący. Obcięto tedy niewielką część prezbiterium starego kościółka i dobudowano do niego ogromny kościół nowy, w stylu gotyckim — dzieło arch. Dziekońskiego.

świadczącym wymownie, jak wysoko stała w Polsce Sztuka Wieku Oświecenia.

Kościół stary, swego czasu obronny, połączony był przejściem podziemnym z zamczkiem wzniesionym w w. XVI przez Wiesiołowskich na miejscu dawnego grodziska drewnianego, zbudowanego, jak głosi podanie, jeszcze za czasów Gedymina. W r. 1390 Jagiełło nadał ziemie okoliczne, drohiczką i tykocińską Januszowi księciu Mazowieckiemu. Odtąd datuje się ożywiona kolonizacja kraju i Białystok. Duża już i zamożna wieś staje się własnością Wiesiołowskich. Gdy rodzina ta wymiera, król Jan Kazimierz nadaje Białystok i Tykocin Stefanowi Czarnieckiemu w uznaniu jego zasług położonych w czasie „Potopu“, córka zaś Czarnieckiego, Aleksandra, wnosi Białystok w posagu Branickim.

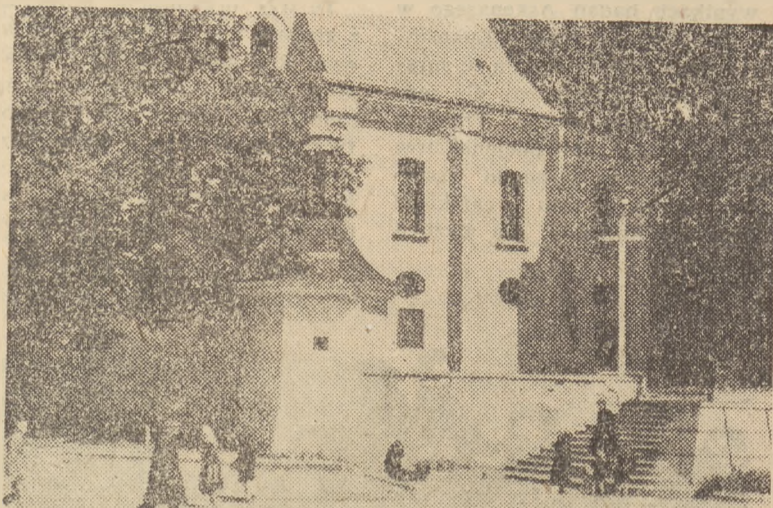
I oto wnuk jej, Jan Klemens, jeden z największych panów polskich doby saskiej, żonaty z Izabellą Poniałowską, siostrą króla Stanisława Augusta, uzyskuje w r. 1760 u Augusta III prawa miejskie dla Białegostoku, a w latach 1740—1750 przebudowuje dawny, obronny zameczek Wiesiołowskich na wielką, magnacką rezydencję, jedną z najwspanialszych w Polsce.

Pałac ten, jeden z największych w kraju, zwany przez współczesnych „Wersalem podlaskim“ był dziełem najlepszych budowniczych i artystów epoki. Każdy, kto śpieszył z zachodu na dwór petersburski carowej Katarzyny zatrzymywał się tu bodaj na czas krótki. „Hotelem królów“, w którym przemieszkiwali August II i August III, zachwycał się podróżujący na zachód jeszcze jako następcy tronu, car Paweł, król Ludwik XVIII przebywał tu na przymusowej w czasie rządów Napoleona emigracji, gościł tutaj także śpieszący do Paryża, po roku 1812, car Aleksander.

On też, po śmierci hetmana nabywa od sukcesorów Białystok. Postanawia założyć tu jedną ze swych rezydencji i asygnuje nawet pewną kwotę na remont pałacu. Komisja

sie międzywojennym pałac staje się siedzibą województwa. Hitlerowcy w odwrocie niszczą go tak bardzo, że — zda się — nie go już od ostatecznej ruiny ocalić nie zdoła.

Dzieje się jednak inaczej. Już w r. 1945 władze Polski Ludowej postanawiają nie tylko odbudować pałac, ale w stary gmach tchnąć nowe życie.



Fragment kościoła — z XVII wieku

fot. L. Rubach

Białostockie było w okresie międzywojennym jednym z najbardziej zaniedbanych województw „Polski B“, zwłaszcza stan zdrowotny był tu rozpaczliwy. Lekarz jeśli przybywał, to już razem z księdzem, aby dysponować chorego na śmierć. Na terenie województwa nie było ani jednej izby porodowej, ani jednej gminnej polonij, ani jednej stacji krwiodawczej. W ciągu ostatnich paru lat strony te otoczono staranną opieką: powstały ośrodki zdrowia, potrójono ilość łóżek w szpitalach, ilość stacji pogotowia ratunkowego z 2 o 3 karetkach wzrosła do 13 o 35 karetkach, powstały 3 średnie szkoły lekarskie, szkoła felczerska, pielęgniarska i położnicza, postanowiono także, że w Białymstoku — mieście wojewódzkim, gdzie dotąd nie było ani jednego wyższego zakładu naukowego — odbudowany pałac Branickich stanie się siedzibą Akademii Medycznej.

NA obwiedziony murem dziedziniec pałacowy, wchodzimy przez dobrze stosunkowo zachowaną osiemnastowieczną, barokową bramę. Wymaga ona tylko drobnych napraw i dlatego zegar umieszczony u jej szczytu znów niebawem wydzwanian będzie godziny i kwadransy. Sam dziedziniec podzielony jest również murem na: zewnętrzny, gdzie szlachta przybywająca przed oblicze hetmańskie pozostawiała swe konie, kaski, karabony i bryki i wewnętrzny, tzw. „honorowy“, skąd szła na po koje hetmańskie. Ogromny pałac zbudowany jak pałac wersalski w podkowie, zdobny w kolumny i ganku, o rzeźbionym tympkanie, łączy się arkadami galerii z dwiema oficynami formującymi skrzydła boczne. W sieni przecinającej gmach główny na wyłot, aż do wyjścia na drugą stronę, zachowały się jeszcze czarno-białe tafle marmurowe, posadzki i cztery kolumny klatki schodowej.

Schody kute w piaskowcu, łagodnym łukiem wiodą na I piętro. To dawne tzw. „apartamenty złote“, gdzie przemieszkiwał przez czas dłuższy, złożony chorobą August Mocny... Obecnie mieszczą się tu gabinet pracy i pokoje przyjęć rektora. Z części salonów powstała wielka aula akademii. Za nią znajdują się pomieszczenia administracji, mieszkania profesorów itp. oraz dawna kaplica pałacowa, niegdyś przyozdobiona bogato. W ołtarzu z obrazem Niepokalanie Poczętej stał, jak mówią dawne in-

wentarze, relikwiarz św. Klemensa „fasonem monstrancji“, przed małym zaś ołtarzem hebanowym, pośredku ołtarza głównego, „krzyż jaspisowy z Passją“ oraz „Weronika — zasłona przed Najświętszym Sakramentem w kielichu umieszczonym stawiana“. Ściany były w „boazerii biało-malowanej w pilastry różnietej

pozłacane“, sufit nakrywała kopuła zdobna w sztukaterie gipsowe.

Pokoje na dole, dawne apartamenty prywatne hetmana i hetmanowej oraz wielka sala jadalna to dziś biura rektoratu, sale wykładowe, biblioteka i czytelnia, z których korzysta młodzież. Wszystko co świadczy tu o dawnej świetności tj. resztki przebogatej ongi sztukaterii, malowideł, o zdobnych kominków itp. zachowano z całą pieczołowitością. W oficynach pałacu w dawnych kuchniach i pokojach gościnnych, powozowniach i stajniach mieszczą się dziś zakłady naukowe i pracownie Akademii. Miejsca jest dość: wewnątrz użytkowe pałacu mierzy bowiem 33 tysiące metrów sześciennych!

A teraz rzućmy okiem na przepiękny, zabytkowy ogród pałacowy łączący się z dawnym zwierzyńcem, którego starodrzew otoczony jest dzisiaj troskliwą opieką i wkrótce przez bramę wjazdową, do miasta. Z sześciu dawnych bram miejskich i murów nie pozostało ani śladu. zachował się jednak i pieczołowicie został odrestaurowany, dawny „dom gościnny“ hetmana (zwany niesłusznie „domem koniuszego“). W tym piętrowym budynku, nakrytym stylowym mansardowym dachem, mieści się dziś muzeum regionalne i goszczą okresowo, organizowane przez Centralny Zarząd Muzeów, wystawy objazdowe. Z afiszów wywieszonych w przedsionku i w klatce schodowej do wiadujemy się więc, że mieszkańcy Białegostoku i okolic mogli tu oglądać wystawy: księdza Ściegiennego i Wieku Oświecenia, Sztuki Starożytności, Kopernika, Kościuszki i in.

Dawna zbrojownia hetmańska, „Cekhaus“, w którym przechowywała swe rekwiizyty miejscowa straż pożarna, czeka jeszcze na odbudowę, lecz ciekawy, siedemnastowieczny budynek Zakładu Św. Marcina został już odrestaurowany. Siostry Szarytki utrzymują tu bursę dla dziewcząt. Przy wjeździe na rynek zwraca uwagę odbudowany dom, będący ongiś siedzibą założonej w połowie XVIII w. przez gen. Mokronowskiego loży Masońskiej, „Złotego Pierścienia“. Tam, gdzie dawniej masoni odprawiali swe praktyki, dziś uczy się, pracuje i bawi młodzież, ma ona tutaj swe biura, świetlicę, bibliotekę i czytelnia.

Tak w Białymstoku, mieście zabytków łączy się przeszłość z przyszłością, stare wczoraj z nowym, lepszym jutrem.

Karol Kozmiński

Smak

(Dokończenie ze str. 6)

głęboki“ (str. 25), liście topól „jakby natarte woskiem“ (str. 28), „pociemniałe powieki“ (60) „starte gwoździe w podszwach“ (str. 95), „łaciąta kulka“ kasztana (str. 235)...

Tu wszystko jest ważne. Wierny widzialnemu światu do granic niemal zachłanności na wszystkość, pisarz słowo nasyca prawdą tego świata. Przykładów można by mnożyć dziesiątki. Kilka — zebranych specjalnie z różnych partii książki — niech zostanie w pamięci.

Ale oto inny rejestr. Żukrowski nie chce także uronić żadnego dźwięku. Każdy szelest, każde natężenie tonów, każdy dysonans, zgrzyt i szept najbardziej cichy chwyta uważliwym membrą, by ofiarować słowu. Słowo pamięta, że „klamra zawieszona pasa zadzwoniła fałszywie“ (str. 3), „słoma pod ciałami szeleści“ (str. 5), rura „stęknęła głucho“ (str. 6), pamięta echo, które „silnym klaskaniem oddawało stuk zwierających się obcasów“ (str. 8), pamięta, że „zapiszczalo szkło pod paznokciem“ (str. 9), pamięta „turkot kieratu i huczenie wialni“ (str. 23), „bzyk telefonu w łagodnym szumie topól“ (str. 23), „łagodny plusk wody“ (str. 32)... I tak na każdej niemal stronie, w każdej niemal sytuacji słowo z przyłożonym do ucha uchem nadstuchuje zbliżania się wszelkiej rzeczy.

Gdy rzecz się zbliży, słowo musi jej dotknąć, wyrazić namacalność, określić konsystencję, odporność, chropowatość, każdą miękkość i każdą twardość. Wszystkie sprawy są tu w swojej sensualistycznej powab-

ności, czy po prostu ważności, jak włosy żony bohatera „Dni kłęski“ — „niesforne, gęste, aż by się chciało w nich palce zaplątać, rozczesywać pieśczołtliwie“ (str. 11). Toteż słowo czego dotknąć może, dotyka, zapisuje wrażenia. Poglądzi „aksamitne wargi wałacha“ (str. 15), wyczuje, że „w trójkacie pod opaloną szyją mocno stukają serce“ (str. 16), domaca się „grubych ziaren piasku“ (str. 29), rozpoznaje „miałki kurz“ (str. 40), „czuje całym ciałem ostrożne stapanie konia, pod opuszczoną dłońią ruchliwy, zgrzany kark“, (str. 134), popróbuj palcem „gładziutkiej skórki“ kasztana (str. 235)...

Jest to słowo wszechstronnie uwarżone. Pragnie widzieć najmniejsze półcień, słyszeć półtony, czuć najłżejsze drgnienia, pragnie rozpoznawać i zapamiętywać wszystkie zapachy. Oto z drzącymi nozdrzami „czuje ostrą woń potu i juchtu z niezdeptanych jeszcze butów“ (str. 5), „duszną woń nagranych cerat“ (str. 20), „ostry aromat jesieni“ (str. 22), „cierpka woń wędnięcia“ (str. 38), „zapach środków dezynfekcyjnych“ (str. 108), „zaduch przepoczonej wełny i rozparzonej skóry“ (str. 125), „zapach skwierczącego lakieru“ (str. 131), „woń mundurów, kurzu i potu“ (str. 260). „odór moczu spalonego gorączką“ (str. 291).

Chciwe na doznania, łapczywe i spragnione sensualistycznej pełni słowo skłonne jest smakować, rozgryzać, dotykać językiem. By jeszcze mocniej wystąpiła, by jeszcze całkowicie pozwoliła się nazwać ięlorakość rzeczy. Słowo to wie, że kurz „osiadał jabowym smakiem na wargach“ (str. 4). „pozostał na nich smak



Brama wjazdowa do b. pałacu Branickich obecnej siedziby Akademii Medycznej

fot. L. Rubach

Zajrzyjmy do wnętrza. Do kościoła starego wchodzi się, jak do kaplicy z lewej strony. W ołtarzu bocznym widzimy piękny osiemnastowieczny obraz N. M. Panny pędzla nieprzećniętego, z pewnością, artysty. Zwraca też uwagę stylowa barokowa ambona. Szkoda, że całość szpeci bardzo nieudolna polichromia. Natomiast piękne są pomniki fundatorów i kolatorów kościoła, zwłaszcza pomnik Jana Klemensa Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, założyciela miasta. Pomnik ten, rodzaj obelisku marmurowego z grubo złożoną płaskorzeźbą profilu hetmana, jest swego rodzaju arcydziełem,

carska tak jednak gorliwie bierze się do owego „remontu“, że z pałacu znikają rzeźby i obrazy, posadzki i kominki, kurtyna teatru dworskiego pocięta na czworo i sprzedana handlarzom wędruje aż do Anglii, a dach miedziany, zerwany z pałacu, po roku dopiero zastąpiony zostaje żelaznym. Nic dziwnego, że car odwiedzający w drodze powrotnej Białystok nie poznaje już swej rezydencji i ofiarowuje pałac na pomieszczenie instytutu „blagorodnych dziewic“ — paniom szlacheckiego pochodzenia. Instytut ten mieści się tam do czasu pierwszej wojny światowej. W okre-

O optymizmie cywilizacyjnym

wyobrażenia jakie o niej powstają w umysłach ludzi, ale fakty i przedmioty jakie w istocie na pojęcie cywilizacji się składają. Założenie przeciwstawności pojęć kultury i cywilizacji jest szczególnie, moim zdaniem, niefortunne, gdy przyjmuje się je w dyskusji ze stanowiskiem katastroficznym. Nawet wówczas gdy założenie to ma charakter roboczy i konwencjonalny.

Uznając podział na duchowy i materialny świat wartości historycznych stajemy do dyskusji na trudnym dla siebie terenie. Założenie to jest bowiem punktem wyjścia pesymizmu cywilizacyjnego. Co gorsza sam ten podział kryje w sobie pokusę skrajnego przeciwstawiania pojęć. Tu zaś stoimy o krok od zwątpienia w wartości cywilizacji.

Po tych wywodach prawie niepotrzebne staje się wyjaśnienie, że moim zdaniem, pojęcia kultura i cywilizacja niemal pokrywają się, obejmując całokształt zarówno duchowego jak materialnego dorobku społecznego, który przyporządkowany jest określonemu systemowi wartości i narzuca swym uczestnikom określoną postawę wobec życia. W odniesieniu do problematyki tu poruszanej termin „cywilizacja” wydaje mi się trafniejszy, jako że kładzie nacisk na społeczny i obiektywny charakter tego pojęcia.

ODRZUCENIE tradycyjnej już w pewnym sensie terminologii rzecz prosta nie rozwiązuje sprawy pesymizmu cywilizacyjnego ani też definitywnie nie rozstrzyga trudności wykrycia jego źródeł. W moim mniemaniu ułatwia jednak analizę współczesnego kryzysu.

Patrząc na współczesne procesy historyczne, jako na nierozbitą abstrakcyjnymi podziałami całość, można dostrzec wspólne to kryzysu cywilizacji mieszczańskiej. Mimo faktu, że liczne i różnorodne są antynomie i sprzeczności nekające świat mieszczański, analiza ich pozwala odnaleźć mianownik wszystkich tych oznak kryzysu.

Tą podstawową antynomią jest, w

moim przekonaniu, sprzeczność między strukturą życia zbiorowego a światem poszczególnych wartości cywilizacyjnych i sił działających w historii. Ramy strukturalno-organizacyjne kapitalistycznego społeczeństwa stały się czynnikiem dławiącym i deformującym istotną treść zdobywczy cywilizacyjnych człowieka, nie mówiąc już o hamującej roli w stosunku do dalszego postępu.

To groźne zjawisko obserwować można w najróżnorodniejszych dziedzinach życia zbiorowego, zarówno w tych, jakie ludzie przywykli określać jako sprawy materialne, jak też w sferze twórczości duchowej.

Weźmy dla przykładu problem postępu technicznego. Czyż nie jest uderzającym fakt, że w ustroju kapitalistycznym ogromne osiągnięcia myśli ludzkiej obracają się przeciwko człowiekowi? Nie mówiąc już o wspaniałych skądinąd odkryciach, które zawiły złowrogą groźbą nad milionami istnień ludzkich, nawet każde osiągnięcie techniki w dziedzinie usprawnienia i zmechanizowania procesów produkcyjnych zamiast uszczęśliwić człowieka przynosi zaburzenie w życiu zbiorowym; staje się klęską dla tych, którym zamiast ułatwić — odbiera pracę. Uprzymiśnienie sobie prawdziwej roli cywilizacji technicznej w życiu współczesnym musi prowadzić do wniosku, że nie dorobek tej cywilizacji jest źródłem zła, ale jej zastosowanie i organizacja, która plon zdobywczy ludzkiego umysłu oddaje w ręce garstki uprzywilejowanych, ze szkodą dla ogółu ludzi i ze szkodą dla dalszych perspektyw rozwoju historycznego.

Analogiczne zjawisko obserwować można w świecie twórczości artystycznej i jej rezonansu. Tu również struktura życia zbiorowego cywilizacji mieszczańskiej — charakter i organizacja związków łączących ludzi deformują istotny sens i wartość twórczości człowieka. Nie idzie tu tylko o proces degeneracji samych twórców i ich dzieła, ujawniający się ze wzrastającym natężeniem.

Dokończenie ze str. 3

W warunkach tych obserwujemy jaszkrawo występujący fakt, że twórczość artystyczna sprzeniewierza się swym istotnym zadaniom dynamizacji życia społecznego, że zaprzecza swej podstawowej funkcji społecznej. Czy jednak obarcza to odpowiedzialnością i poddaje w wątpliwość wartość sił twórczych człowieka? Na pewno nie. Jest jasne, że ten stan rzeczy należy przypisać strukturze życia a w szczególności kapitalistycznemu prawu wartości, w ramach którego organizuje się twórcza działalność człowieka, prawu, które najwyższe wartości zamienia w towar.

Zwróćmy uwagę na jeszcze jeden aspekt omawianej antynomii rozdzielającej cywilizację mieszczańską. W dziedzinie problematyki moralnej obserwować możemy również podobne niszczące i deprawujące działania oparte na kapitalistycznej strukturze życia zbiorowego. I tu również najwyższe wartości etyczne są kompromitowane i życie wydaje się poddawać je w wątpliwość. Jeśli jednak byłbyśmy i jesteśmy świadkami np. zbiorowych wynaturzeń uczuć patriotycznych (nacjonalizm), jest aż nazbyt jasne, że doświadczenia takie nie mogą prowadzić do zwątpienia w wartości etycznej tych uczuć. Najostrejszy zarzut musi natomiast skierować się przeciwko kapitalistycznej strukturze życia zbiorowego, która nie tylko umożliwia, ale wręcz jest źródłem moralnej degeneracji.

Można by mnożyć podobne przykłady. Sądzę, że wystarczy tych, aby ukazać jakie są, w moim pojęciu, najistotniejsze źródła śmiertelnej choroby cywilizacji mieszczańskiej.

*

CAŁE moje dotychczasowe rozumowanie może spotkać się z jednym zarzutem, który pragnęłbym zawczasu uprzedzić i odaprzyć. Może ktoś wytknąć temu rozumowaniu

niekonsekwencję. Że mianowicie atakując podział dorobku ludzkości na cywilizację i kulturę, pod pozorem abstrakcyjności i konwencjonalności tworzą, na innej co prawda płaszczyźnie, nowy, roboczy i w pewnym sensie umowy podział.

Niewątpliwie jest w jakiejś mierze zabiegiem sztucznym wyodrębnienie nie z całokształtu zjawisk i faktów składających się na pojęcie cywilizacji tego co stanowi koncepcję konstrukcyjną tej cywilizacji, od tego co jest jej treścią i niejako jej tworzywem. Nie da się zaprzeczyć, że budulec wpływa na jakość konstrukcji i odwrotnie struktura w pewnym stopniu przesądza jakość użytego do budowy materiału. Niepodobna więc rozgraniczyć ściśle struktury życia zbiorowego od tych materialnych i duchowych wartości kultury ludzkiej, które swą treścią wypełniają tę strukturę i nadają jej życie. Mimo to podział przyjęty tu za podstawę do analizy dialektyki współczesnych procesów historycznych wydaje mi się poznawczo płodny; płodny szczególnie w czasie przełomu, w którym dokonuje się dziejowa selekcja wartości.

Gmach życia mieszczańskiego nieuchronnie wali się w gruzy. Nagromadzone tam zostały wielkie wartości i muszą one być przeniesione i służyć nadal swemu przeznaczeniu. I ci wszyscy którzy, zamiast ratować cenne wartości starają się podpiętać walący się gmach, powiększają tylko straty związane z nieuniknioną katastrofą. Dlatego właśnie w naszych czasach wysiłek myśli ludzkiej musi być szczególnie napięciem kierować się ku jak najjaśniejszemu rozeznaniu tego, co w naszej cywilizacji jest twórczą treścią od tego, co jest przekreślona przez historię formą zewnętrzną. Nie jest to bynajmniej zadanie łatwe, bo to co określimy mianem struktury, to nie tylko zewnętrzne formy organizacyjne życia zbiorowego, ale również wypływający z nich świat pojęć i ideałów.

Na zakończenie jeszcze jeden wniosek wypływający z ukazanej za-

leńności struktury i treści cywilizacji: wniosek o konieczności rewolucji jako jedyne go środka leczącego chorobę naszych czasów. Nie może tu żadne kłajstrowanie ani żadne leczenie paliatywami, nie pomogą żadne „trzecie” wyjścia. Ta struktura, która dławi wyzwalanie się twórczych cywilizacyjnych sił społecznych nie może być obalona inaczej jak przez zasadniczy wstrząs. Tak jak konieczność rewolucji motywuje w płaszczyźnie politycznej fakt, że burżuazja dobrowolnie nie wypuści z rąk władzy i przywilejów, tak w płaszczyźnie socjologii kultury konieczność rewolucji umotywowana jest faktem ścisłego związku struktury kapitalistycznej z twórczymi wartościami kultury. Zamiana konstrukcji bez naruszenia całości budowlanej nie jest możliwa.

Rozważania powyższe zaprowadziły nas pozornie daleko od problemu pesymizmu cywilizacyjnego. Ta droga wydawała mi się konieczna, aby ukazać główne niebezpieczeństwa, które zagrażają myśli chrześcijańskiej w obecnym, przełomowym momencie dziejów. Każdy pesymizm, jak sądzę, płynie przede wszystkim z dwóch źródeł: niezrozumienia otaczającego świata oraz bezradności wobec niego.

Z jednej strony potrzebny jest więc nieustający trud poznawczy, trud skierowany na odkrycie mechanizmu współczesnych procesów rozwojowych, w szczególności odstawiających klasowe sprzężyny tych procesów.

Z poznania zaś wynikać muszą postulaty i zadania na przyszłość.

Prawdziwe przezwyciężenie pesymizmu płynące z wiedzy, w moim przekonaniu, tylko ze świadomości, że ocalenie twórczych wartości kultury jest uwarunkowane obaleniem starej struktury życia zbiorowego. W tym zrozumieniu zadanie przechowywania i ratowania trwałych wartości i zadanie rewolucyjnej przebudowy świata pokrywają się. Są jednym i tym samym zadaniem.

Andrzej Krosiński

dojrzałej goryczy

zardzewiałego żelaza” (przypomnijcie sobie Tuwimowe: „rezeda pachnie jak rezeda”) (str. 6), „cierpkawy płyn łaskotał gardło” (str. 54), papier miał „smak jałowy” (str. 144), „kwaśny odór eksplozji metalicznym smakiem osiadał w gardle” (str. 273)...

Prześlaliśmy cytować. Odłożymy na bok notatki. Podnieśmy głowę znad mikroskopu. Odnotujmy wnioski.

To pięcioma zmysłami rozmiłowane w rzeczywistości słowo nasycyca język artystyczny Wojciecha Zukrowskiego tak dużą ilością realiów, że stwarza — jeśli chodzi o zakres rzeczywistości materialnej — pełną gwarancję jej intensywnego, bezpośredniego odbioru. Więcej: intensywność spotęgowaną prawem kondensaty odkrywa przed odbiorcą rzeczy stokróż widziane, słyszane, przeżywane, a przecież — nowe. Dzieło Zukrowskiego przywraca nam świat, którego nie umiemy dostrzegać lub — umiemy dostrzegać — nie umiemy wyrazić.

VI

JĘZYK sensualistycznej wierności opisywanemu światu, język, który do perfekcji doprowadził Zukrowski, i który nadaje wielką siłę artystyczną „Dniom kłęski”, byłby jednak tylko wyrazem uznania dla bogactwa wielorako podniecającej doznania rzeczywistości, byłby tylko wysubtelnionym naturalizmem, gdyby nie warunkowała go świadomość istnienia wartości nadrzędnych, wartości ludzkich. Dopiero człowiek, dopiero rozumienie ważności człowieka nadał sens wiernej służbie pisa-

rza, oddanego prawdzie rzeczy. Dopiero wnikięcie w prawa rządzące czołowiekiem, twórcą historii, pozwala na wypowiedzenie w sensualistycznym języku prawdy o człowieku, prawdy o historii. W ten sposób bowiem rzeczywistość oddana słowem pięciu zmysłów staje się podstawą do tworzenia wizji rzeczywistości szerszej, głębszej, nie zamykającej się w pięciu kręgach doznań ssaka o postawie plonowej.

Zukrowski musi respektować i respektuje tę prawdę. Barwność świata, intensywność rzeczy istnieje w jego dziele przede wszystkim ze względu na człowieka, służy ludzkiej prawdzie jego bohaterów. Wszystkie wrażenia są tu dynamiczne, w ruchu, w stawianiu się człowieczym. Dlatego są ważne, że urealniają, osadzają w konkretnym żywym czasie, miejscu i sytuacji — jego bohaterów. I tylko dlatego mogą być ważne.

Nie piszę tego na podstawie zapewnień pisarza, nie przyjmuję tego na słowo honoru. Wiem o tym z dzieła. Widzę to w jego języku.

Pochylmy się znów — tym razem tylko na chwilę — nad mikroskopem. Oto kilka zdań: „skrzypiały ciężkie oddechy” (str. 3), „powietrze pachniało przyjaźnią dymem z badyli” (str. 26), „zapachniało powszednim wieczorem” (str. 110). Zdawało by się: normalne przykłady na zmysłową czynność słowa. Nie. To coś więcej. Którymi zmysłami odczuwa-

my przyjaźń? Jaki jest zapach powszedniości? Jakże oddechy mogą skrzypieć?

Podnieśmy głowę znad mikroskopu. Żaden mikroskop nie uchwyci tych spraw. Przykładowo przytoczone zdanie wskazuje, że język Zukrowskiego nie może się zadowolić sensualistyczną wrażliwością. Potrzeba czegoś więcej: świadomej woli kształtowania prawdy o rzeczywistości z elementów danych konkretnie, sprawdzalnych zmysłowo. Zukrowski przepaja swój język wolą wyrażania pełnej prawdy ludzkiej. Przytoczone z podantyczością przykłady to przede wszystkim sprawdzian konieczności pogłębiania języka sensualistycznego o pozasensualistyczną prawdę o człowieku.

Bogactwo świata niczym jest bez człowieka. Zukrowski przetłumaczył tę prawdę na kategorii języka artystycznego.

Zwróćmy jednak uwagę na pozornie drobną sprawę. Przysuńmy — teraz już po raz ostatni — mikroskop. Oto kilka zdań: „nitki babiego łata na pomierzwiu sierści cięlcia” (str. 33), „gdzieś blisko, ukryty pod liściem bzykał komar” (str. 59), „lepkie od upału powietrze mazało się po twarzach” (str. 131), „tłusty dym, śmierdzący spalonym smarem i włosami” (str. 164), „powietrze miało odmienny smak, odurzało jesienną fermentacją” (str. 62). Pozornie są to przykłady pięćdziesięciu wrażliwości słowa. Wystarczy jed-

nak bliżej się mu przyjrzeć, by zauważyć, że chodzi o co innego. Chodzi o przekroczenia wobec realizmu. Pisarz stosuje tu nadmierne zbliżenie, popada w hipertrofię, nadwrażliwość. Widzi to, czego jego bohaterzy w zobrazowanej w książce sytuacji nie mogli widzieć, czy czuć. Jeśli się zważy, że kontekstem jest wojna, bitwa, zgiełk, zamieszanie — podobne przykłady zyskują na wyrazistości. Pisarz odchodzi tu od realizmu, który mu zapewniała pamięć o prawdzie ludzkiej, daje się uwodzić sensualistycznym urokiem rzeczy „samych w sobie”. To niebezpieczeństwo trzeba sygnalizować. Nadmiar widzenia może stać się niedowidzstwem.

Zukrowskiego czasami korci ten uroczy grzech.

VII

DOŚC już jednak mikroskopu i żmudnego cytowania. Nie chodziło przecież o laboratoryjne rozdzielanie włosa na czworo, nie chodziło o nieistotne szczegółiki, lecz o sprawy zasadnicze.

Jeśli wrócimy teraz do początkowego stwierdzenia, w którym była mowa o tym, że w „Dniach kłęski” przykuwa przede wszystkim obraz wrześnie, natomiast próba rozszyfrowania jego sensu dziejowego tylko zadowala swoją fragmentaryczną poprawnością, jeśli przypomnimy, że książka Zukrowskiego określa się przede wszystkim dominantą estetyczną, a nie bezpośrednio — poznawczą, jeśli wreszcie pamiętać będzie-

my analizę języka autora „Dni kłęski” — powinny się narzucić pewne wnioski.

Zukrowski skłonny jest ujmować świat w kategoriach doznania, a nie poznania. Ciągnie go ku świetnym obrazom, raczej niechętnie, natomiast pochyla się nad skomplikowaną mapą ludzkich błędów, niedomyśleń czy konfliktów. Wyprowadza te konflikty w sferę najbliższą swemu typowi wyobraźni.

Nowosad wojnę przeżywa głębiej niż Mulewicz, szlachetniej niż Gembarzewski, ale w jego działaniu jest coś z Babickiego, coś z hazardu z „wielkiej gry”, z „rewanżowego meczu”, z „ponurej przygody”. Procesy świadomości ukazane są raczej przez skutki, niż w działaniu przyczyn; raczej statycznie, niż dynamicznie.

Ma się chwilami wrażenie, że autor nie lubi pokazywać wnętrza Nowosada dlatego, iż boi się, że go nie będzie umiał pokazać. Ostrożność mądra, ale jeszcze mądrzejsze byłoby wykazanie się zwycięską odwagą pisarską.

Ostatnią swoją książką Zukrowski jeszcze raz potwierdził jednak powszechne i słuszne mniemanie o poważnej roli, jaką odgrywa w naszej literaturze współczesnej.

Jest to książka wybitnego artysty, który — jeden z niewielu — stworzył własny język, własny kierunek rozwojowy i własnymi drogami dojdź na pewno potrafi do następnych twórczych osiągnięć.

Zygmunt Lichniak

Kilka słów o:

Rok wielkich rocznic

Filmie

O TRZECH FILMOWYCH JOANNACH D'ARCA

Dzieje świetnej dziewczyny orleańskiej, bohaterki narodu francuskiego, stanowią wdzięczny temat dla filmu. Do tej pory w historii kinematografii upamiętniły się trzy Joanny (zaliczając z góry do tych trzech nieukończony jeszcze film postępowego reżysera francuskiego Delannoy



1928. Falconetti

o Joannie pt.: „Przeznaczenia“). Zrealizowany już po wojnie w Ameryce film reżyserii Fleminga z Ingrid Bergman w roli tytułowej według sztuki Shaw'a był nie tyle słynny, jako najlepszy, ile słynny z „niesamowitej“ kampanii reklamowej rozwiniętej wokół owego „arcydzieła“ ziego smaku i bogactwa. Sama Ingrid Bergman, skądinąd ambitna aktorka, po nakręceniu tego przez reklamowanego filmu publicznie oświadczyła: Nie zgodziłabym się nigdy grać roli Joanny, gdybym miała możliwość u-



1948. Ingrid Bergman

przedniego ujrzenia filmu Dreyera z Falconetti.

Istotnie ciekawe jest porównanie tych dwóch filmów, z których jeden zrealizowany w prymitywnych warunkach, w porównaniu z obecnymi możliwościami technicznymi filmu, zamiast śmieszyć, przemawia do dziś dnia wielkością koncepcji, głęboką wymową i prostotą realizacji. Drugi natomiast zrealizowany w wspaniałych atelier Hollywoodu, przy nieograniczonych możliwościach finansowych i technicznych raz i własnie prymi-



1952. Michèle Morgan

tywem artystycznym. Realizacja przez Fleminga jego „wielkiego“ filmu o Joannie miała jeszcze jedną złą stronę, przeszkodziła stworzeniu napewno lepszego filmu projektowanego w tym samym czasie we Francji.

Obecnie znany francuski reżyser Delannoy kończy zdjęcia do filmu pt. „Przeznaczenia“, którego treścią są trzy epizody

z życia trzech kobiet w różnych epokach, kobiet reprezentujących trzy odmienne wielkie przymioty charakteru. Epizod o Joannie D'Arc głośno cnotę męstwa i świętości. W roli Joanny występuje wybitna artystka francuska, znana w Polsce z filmu „Symfonia Pastoralna“, Michele Morgan.

„TAK DŁUŻEJ BYĆ JUŻ NIE MOŻE“.

Z okazji „Międzynarodowego Kongresu Narodów w Obronie Pokoju“ w Wiedniu postępowi reżyserzy francuscy zmontowali film dokumentalny pt. „Tak dłużej być nie może“. Film pokazuje obrazy z wojny koreańskiej, przedstawiające zniszczenia i zbrodnie swą publicystyczną treścią udowadniają, że rzeczywiście tak dłużej być nie może, aby tysiące niewinnych ludzi ginęły w imię interesów drobnej grupy amerykańskich kapitalistów.

Muzyce

WYNIKI MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU SKRZYPKOWEGO IM. H. WIENIAWSKIEGO

Jury Międzynarodowego Konkursu Skrzypkowego im. Henryka Wieniawskiego ogłosiło dnia 16 grudnia wyniki:

I nagrodę otrzymał radziecki skrzypek Igor Ojstrach. Dwie równorzędne II nagrody — Julian Sitkowiecki (ZSRR) i Wanda Wilkomirska (Polska).

Trzy III nagrody przyznano: Blanche Tarjus (Francja), Marine Jaszwilli (Z. S. R. R.) i Oldze Parchomienko (Z. S. R. R.).

Zdobywcami IV nagród są: Emil Kamilarow (Bułgaria) i Polacy — Edward Statkiewicz, Igor Iwanow i Henryk Palulis. V nagrodę otrzymał Csaba Bokáy (Węgry). Ponadto przyznano dwa wyróżnienia dla Marty Hidy (Węgry) i Ladisława Jaska (Czechosłowacja).

NIEZNANA SONATA BORODINA

Muzyczna spuścizna A. Borodina była dotychczas stosunkowo mało znana. Ostatnio w Konserwatorium Moskiewskim wykonano po raz pierwszy utwór tego kompozytora: sonatę na wiolonczelę i fortepian.

Rękopis sonaty przechowywano przez długi czas w Naukowo-Badawczym Instytucie Teatru i Muzyki w Leningradzie. Dawno już zwróciła ona uwagę melomanów, jednak uważano ją za niezakończoną. Ostatnio znaleziono brakujące strony nut sonaty.

Plastyce

MEKSYKAŃSKA WYSTAWA

Postępowi artyści meksykańscy i zamieszkałi w Meksyku emigranci hiszpańscy zorganizowali wspólnie wielką wystawę plastyczną. Głównym tematem przewijającym się przez 300 eksponatów z dziedziny malarstwa i grafiki — jest walka na rodzie hiszpańskiego z faszystowskim reżimem Franco oraz walka ludności Ameryki Łacińskiej z imperializmem USA.

Wystawa jest swego rodzaju protestem przeciwko zorganizowanej przez rząd Franco wystawie sztuki iberyjskiej w Madrycie, która wykazała wielki upadek kultury artystycznej.

SZTUKA I POKÓJ

W Lionie w początkach grudnia otwarto wystawę pt. „Sztu-

ka i pokój“. Malarze i rzeźbiarze, którzy wzięli udział w tej imprezie, reprezentują różne poglądy, tendencje polityczne i artystyczne: w tym wypadku połączyło ich wspólne dążenie do utrzymania pokoju na świecie. Wśród rzeźb zwracają uwagę prace Georges Salendre i Francisque Lapandery.

Trzeba dodać, że jest to już w Lionie druga z kolei wystawa poświęcona walce o pokój. Pierwsza odbyła się w roku 1950 z okazji Międzynarodowych Targów Liońskich, gromadząc wtedy około 200 prac postępowych artystów.

WYSTAWA SZTUKI W SOFII

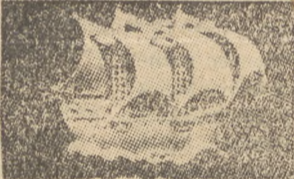
W ostatnich dniach otwarto w Sofii największą w historii Bułgarskiej Republiki Ludowej wystawę sztuki. W Galerii Narodowej w Sofii sztuka bułgarska reprezentuje 639 dzieł z zakresu malarstwa, rzeźby i grafiki.

O SZTUCE POLSKIEJ

Sztuka polska zajmuje w jednym z ostatnich numerów radzieckiego pisma „Isskustwo“ wiele miejsca. Obszerny artykuł o naszych tradycjach realistycznych publikuje W. Suris. Pracę omawiającą materiały pokazane na niedawnej wystawie moskiewskiej zdobną wielobarwne reprodukcje dzieł Simmlera, Matejki, Gottlieba, Grotgera, Gierymskiego i in. W tym samym numerze M. Joffe pisze o „Plakacie polskich artystów“, bardzo pozytywnie oceniając nasze osiągnięcia w tej dziedzinie.

RZEŻBA NA KOŚCI

Rzeźba na kości stanowiła od wieków jeden z najsubtelniejszych elementów sztuki zdobniczej, będąc jednocześnie



sztuką wybitnie ludową i narodową. W Związku Radzieckim jest kilka okolic, gdzie rzeźbienie na kości doszło do



wysokiego kunsztu artystycznego. W położonym daleko na północy Solwyczegocku, Cholgogorowie oraz syberyjskim



mieście Tobolsku, oraz na Kaukazie rzeźby na kości są popularną i cenioną sztuką ludową.

teatrze

O RÓŻNYCH JULIACH I O MARZENIU CLAIRE BLOOM

Dla każdego reżysera największą trudnością przy wystawieniu sztuki Szekspira „Romeo i Julia“ jest znalezienie odpowiedniej aktorki do roli Julii. Jest to jedna z tych sztuk, których bohaterka musi być nie tylko piękna i młoda, musi nie tylko wzruszać swą prostotą i wdziękiem, lecz powinna być przede wszystkim dobrą, doświadczoną aktorką. Pewien reżyser an-



gielski napisał kiedyś artykuł, w którym stwierdził, że rolę Julii powinny grać czternastoletnie dziewczęta (w dawnym teatrze Szekspira grali, ją nawet bardzo młodzi chłopcy).

Natychmiast po ukazaniu się drukiem tego artykułu do reżysera zgłosiła się młoda dziewczyna, która z poważną miną oświadczyła: — Nazywam się Claire Bloom, jestem aktorką, mam właśnie wymagane czterdzieści lat a największym moim marzeniem jest zagranie roli Julii. Skonfundowany reżyser nie wiedział naturalnie, że rozmawiał z jedną z najlepszych w przyszłości odtwórczyń tej roli.

Marzenie Claire Bloom, które jest prawdopodobnie marzeniem każdej młodej, ambitnej aktorki, spełniło się dopiero w siedem lat później. W londyńskim teatrze Old Vic, grają ostatnio z dawno nie notowanym powodzeniem „Romeo i Julia“ Szekspira, Claire Bloom, bohaterka ostatniego filmu Chaplina „Światła sceny“ odtwarza rolę Julii. Młoda aktorka angielska, którą Chaplin wybrał z pośród tysięcy do swego głośnego filmu, podbiła serca widzów nie tylko wdziękiem i młodością ale świetną, inteligentną interpretacją aktorską tej trudnej roli.

ZNAM starą i piękną legendę — nie wiem już dokładnie — perską czy hinduską, w której jest mowa o dniu noworocznym i o sędzi

Jaki się w ten dzień odbywa. Jeśli rok przyniósł choć jedno mu ludzkiemu sercu chociaż jedną prawdziwą go-dzien jest dalszego życia i zamieniony w gwiazdę na zawieszoną w firmamencie.

Dzwony biją donośnie, zegną ją dogasający rok 1952 — może warto — idąc wzorem dawnej legendy osądzić go, czy zasługuje na pamięć.

Nikt chyba nie nazwie naszego czasu porą łagodną. Przeważnie, epoka w której wypadło nam żyć jest dramatyczna, pełna gwałtownych zdarzeń — walk, zmagañ i trudu. Rok, który również zaznaczył się w dziejach tym niepokojem na szego czasu, raz po raz przebiegały przezeń pomruki odległych burz. I niebo często nad nim ciemniało.

Ale popatrzcie. Jest coś, jakby smuga słońca, która klądzie się na tym roku, jakaś barwa bardzo piękna, błękitna jak niebo, barwa która go spowija, która w nim gra coraz głośniejsze. Bo choć Ruch Pokoju nie przypomina takiej właśnie smugi słonecznej, która rozbiła i płonie podczas mglistego dnia. Golebie pokoju zwyciężają świat, docierają coraz dalej, lecz coraz liczniejszą gromadą — bielą swych skrzydeł atakują ciemność i wszędzie, gdzie się pojawią niosą najcenniejsze z hasel: POKÓJ.

Niedawno zakończył swe obrady Wielki Kongres Narodów w Obronie Pokoju. — Ten potężny atak dobrych sił ludzkości i zwycięstwa, jakie osiąga pozostanie na zawsze najczystsza radością, którą nam przyniósł mijający rok.

Jest jeszcze inna radość, o której będziemy pamiętać — właśnie radość pamięci.

Oto dzięki inicjatywie Światowej Rady Pokoju cały świat obchodził uroczyste rocznicę czterech wielkich twórców kultury — którzy wiele dali ludzkości. Pomyślcie jakie piękno zawarte jest w tym geście — to tak jakby czas teraźniejszy podawał dłoń minionym epokom — mówiąc — że nie minęły ale żyją nadal.

Jest coś głęboko wzruszającego w kulcie dla sztuki, któ-

ra zwycięża czas i dla wiedzy, która czas tworzy.

Avicenna, Leonardo da Vinci, Mikołaj Gogol i Wiktor Hugo — wszyscy z różnych, nie-laz bardzo odległych epok i z różnych, jakże dalekich sobie



krain, lecz jednak wszyscy czterej związani jakby we wspólną rodzinę, tych, którzy służą ludzkości. Stary arabski filozof zgłębiał sekrety przyrody i roztrząsał myśl ludzką właśnie po to, aby uczynić ją bardziej sprawną, potężniejszą, bardziej ludzką — artysta Leonardo zachwycał się pięknem świata tak bardzo, że stworzył obraz najczystszy i pełen takiej harmonii, że do dzisiaj widać ta darzy nas wielką radością. Rozwicznony poeta romantyzmu Wiktor Hugo, choć pozornie tak pochłonięty sprawami poetyckimi przeżyć w istocie wyrażał nieustannie swą miłość dla ludzi, swą wiarę w zwycięski czyn człowieka. A czyż Mikołaj Gogol — bezlitosny obserwator wad społecznych i ludzkiej nie-doskonałości przez to właśnie nie stał się jednym z walczących o lepszy dzień dla wszystkich. Wszyscy czterej, którym rok ubiegły złożył należny hołd, złączeni byli tą wspólną ideą: służeniem sprawom człowieka. I czyż to nie upoważnia nas, aby zaliczyć ich do wielkiego ruchu pokoju, tego ruchu, który tworzy się przez wieki, a któremu pomagają wszyscy dobrzy i wszyscy twórcy ludzie.

Biją dzwony donośnie. Nowy nieznany rok nam zwiastuje. Jakież będzie? Wierzymy, że będzie w nim dużo walk, dużo trudów ale i dużo słońca. Wierzymy, że i ten rok, gdy przemienie będzie miał prawo wznieść się na firmamencie i błyszczeć tam jak gwiazda obok innych lat dobrych i jasnych.

Bo, że tak się dzieje, zapewniamy nas stara legenda hinduska.

M. B.

wszystkim

występy teatru „Berliner Ensemble“, uroczyste przedstawienie specjalnie wznowionej tragedii Schillera „Intryga i miłość“ w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie, koncerty wybitnej śpiewaczki Ewy Fleischer, wystawę plakatów i karykatury polityczne NRD, wieczory poświęcone współczesnej postępowej literaturze niemieckiej oraz spotkania niemieckich gości z przedstawicielami społeczeństwa.

MUZEUM RIMBAUDA

Polskich rimbaudistów ucieszy pewno wiadomość o otwarciu muzeum, którym miasto Charleville uczci głośnego poety. Muzeum skomponowano bardzo ciekawie. Można w nim zobaczyć wszystko, co stanowiło własność Rimbauda. Od butelki perfum, którą kiedyś nabył, aż do książek i fotografii. Ten natchniony włóczęga i

wieczny cygan znalazł nareszcie po śmierci schron dla wspomnień o sobie.

NAGRODY LITERACKIE

Trzy największe francuskie nagrody literackie, których przyznanie budzi co roku zromumiałą sensację zostały niedawno rozdzielone. Nagrodę Goncourtów dostała młoda pisarka katolicka Beatrice Beck, za powieść zatytułowaną „Leon Morin — kapłan. Kobieta czasopismo „Femina“ przyznało nagrodę pani Dominique Rollin za jej książkę „Technie-nie“. Wreszcie Jacques Penry jest laureatem nagrody Renaudot, którą zdobył swą powieścią: „Zakochani w niczym“ (l'amour d Rien). Rzecz uderzająca jest, że wszystkie nagrodzone powieści roztrząsają poważne problemy etyczne.

Czyżby zwrot do naprawdy poważnej literatury we Francji?

Redaguje zespół.

Prenumerata miesięczna 1.80 zł. Kwartalnie 5.40 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel 810.71.880.26.

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam 3493. 4-B-16801